



KWARTALNIK POWIATU OLKUSKIEGO

nr 4 (12) październik - grudzień 2014
ISSN 2299-1492

JANUSZ ZASADA - Z OLKUSZA DO AFRYKI - WYWIAD



Marcin STYCZEŃ

Pieśniarz, kompozytor, autor tekstów, lektor, dziennikarz, twórca niezależny, ur. 22.10.1978 r. w Olkuszu. Mieszkał na Pakusce. Debiutował w 1994 roku (w wieku 16 lat) w plebiscycie młodych talentów „Chcę być gwiazdą” w Polskim Radiu Katowice. Gwiazdą nigdy być nie chciał, ale marzył o swoim zespole i swojej publiczności. Pierwszy zespół, Forte, założył jeszcze w olkuskim liceum. Występował z nim w latach 1995-2000, zdobywając nagrody na festiwalach piosenki w całej Polsce.

Po przeniesieniu się do Warszawy w 1997 r. rozpoczął karierę solową. W 2002 roku Polskie Radio wydało jego singiel „Kobieta w stylu retro”. W roku 2005 Styczeń założył własną agencję artystyczną SM-ART. Jej nakładem w 2006 roku ukazała się płyta „Pieśń o Bogu ukrytym” do wierszy Karola Wojtyły. Materiał był promowany na koncertach m.in. w Paryżu, Rzymie, Chicago, Los Angeles, New Jersey, Waszyngtonie, Detroit. Płyta bez wielkiej medialnej promocji sprzedała się w ponad 5000 egzemplarzy. W 2008 r. ukazała się autorska płyta „21 gramów”, w 2009 - płyta „Bryllowanie” oparta na wierszach Ernesta Brylla, a w 2011 - DVD „Bryllowanie Live”, zapis koncertu M. Styczenia i E. Brylla z Teatru „Polonia”. W grudniu 2012 roku Edycja Świętego Pawła opublikowała piątą płytę, „Zejdźmy się jak na wilię”, na której znalazły się wiersze bożonarodzeniowe E. Brylla, C. K. Norwida, J. Czechowicza, J. Lieberta, E. Zegadłowicza, J. Pietrzyckiego. W lutym 2013 r., także nakładem Edycji Świętego Pawła, wyszła płyta „Golgota Jasnogórska”, oparta na poemacie E. Brylla, nagrana z udziałem poety oraz Joanny Lewandowskiej. Także w 2013 wraz z E. Bryllem wydał książkę z płytą „Duchy poetów” (2013), nominowaną do nagrody Srebrnego Kałamarza 2013. „Golgota Jasnogórska” otrzymała Feniksa 2014 w kategorii muzyki chrześcijańskiej oraz II nagrodę na Katolickim Festiwalu Filmów w Niepokalanowie w kategorii multimedialnych.

Koncertuje w kraju i za granicą (m.in. w Niemczech, Francji, Włoszech, Kanadzie, czterokrotnie w USA). Jak mówi, swoją twórczością chce otwierać ludziom serca.

W tym roku obchodzi 20-lecie pracy artystycznej. Rzadko gości w rodzinnych stronach, ostatnio jednak zawiązał z koncertem do Załęża, gdzie jego występ wieńczył konferencję naukową o krzemieniu z Załęża.



W NUMERZE:

Wywiad:

Marcin Styczeń 2, 47

Kalendarium..... 4

Recenzja muzyczna:

Trochę inny Lesers Bend..... 9

Rekomendacja:

Nieświszczuk zaświszcze czasem 11

Spotkanie z książką:

„Bośniacki kat” 12

Opowiadanie:

Krystyna Dziurzyńska „Oferta nr 120/5/2012” 14

Wydarzenie:

Urodziny MOK-u..... 16

Rekomendacja:

Krystyna Dziurzyńska „Widok z okna”..... 18

Konkurs:

Ratoń po raz dziesiąty 19

Wywiad:

Janusz „Jasiek” Zasada 22

Wernisaż:

Cieślin w BWA 25

Wernisaż:

Andałowice, Lipowci 2013 27

Plener:

Pustynia 2014 28

Turystyka:

Krzemień z Załęża 31

Wspomnienie:

Maciej Przegonia 34

Opowiadania:

Maciej Przegonia 35

Poezja:

Panna Sil 48

Poezja:

Marcin Tomsia 50

Sport

..... 51

WSTĘPNIAK

„Nie przeciągaj pożegnania, bo to męczące” – mówił Lis do Małego Księcia w książce Antoine de Saint-Exupéry’ego. Racja, pożegnania to nic miłego. Któż by je lubił? Ale dlaczego w ogóle o pożegnaniach mowa? Ano dlatego, że wszystko, co dobre, szybko się kończy. Przynajmniej tak mówi przysłowie. Czy mu wierzyć? Czy trzy lata to długo, czy krótko? I czy było dobrze, czy niekoniecznie? Na te pytania chyba nie nam dziś odpowiadać... Choć, patrząc wstecz, trudno ukryć wzruszenie.

Jako, że jest to najprawdopodobniej ostatni numer „Kwartalnika”, ze swojej strony serdecznie dziękuję moim redakcyjnym Kolegom za te trzy lata wspólnej, twórczej, pełnej pasji pracy. Za ciekawe pomysły, interesujące dyskusje, kłótnie i spory (będzie co wspominać, prawda? :-)) No i jeszcze Opatrzności, za to, że pomogła nam ze sobą wytrzymać ;-)

W imieniu całej Redakcji dziękuję wszystkim osobom, które z nami współpracowały, które tworzyły wraz z nami tę gazetę, wkładając w to wiele energii i serca.

Przed wszystkim zaś dziękujemy Wam, drodzy Czytelnicy, za obecność i wszystko inne.

Warto może na koniec przytoczyć jeszcze inne przysłowie: wszystko dobre, co się dobrze kończy. Jest grudzień. A „grudzień to miesiąc zawiły, czasem srogi, czasem miły”. Może więc jeszcze będzie miło...

Z życzeniami udanego następnego roku
Agnieszka Zub



Kwartalnik Powiatu Olkuskiego - Facebook:

<https://www.facebook.com/pages/Kwartalnik-Powiatu-Olkuskiego/3511064998341597?ref=ts&fref=ts>



Kwartalnik Powiatu Olkuskiego - Twitter:

<https://twitter.com/KwartaPowOlkusk>

Wydawca: Starostwo Powiatowe w Olkuszu, ul. Mickiewicza 2, 32-300 Olkusz, tel. 32 643 04 14, 32 643 04 10, fax 32 643 04 90

Redakcja: Starostwo Powiatowe w Olkuszu, ul. Mickiewicza 2, 32-300 Olkusz, tel. 32 647 87 65, 32 643 04 65, e-mail: kwartalnik@sp.olkusz.pl

Redaktor naczelny: Agnieszka Zub

Zespół: Olgerd Dziechciarz, Jarosław Nowosad, Grzegorz Turski
Skład i druk: Drukarnia Grafpress, ul. 29 Listopada (pawilon), 32-300 Olkusz, tel. 32 754 32 32

Nakład: 1000 egz.

Czasopismo bezpłatne

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania, redakcyjnego opracowania oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów. Materiały nadsyłane do druku publikowane są nieodpłatnie. Informujemy, że dostarczając na adres redakcji materiały (teksty, zdjęcia) wyrażają Państwo zgodę na ich publikację (chyba że materiały zostaną wyraźnie zastrzeżone do wiadomości redakcji).

Projekt okładki: Alicja Duzel-Bilińska, Grzegorz Biliński.

Wykorzystano postaci z muralu znajdującego się w Chechle, przy punkcie widokowym na Pustynię Błędowską. Autor nieznan.

Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: Europa inwestująca w obszary wiejskie. Publikacja opracowana przez Starostwo Powiatowe w Olkuszu, współfinansowana ze środków Unii Europejskiej w ramach oś 4 Leader Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007–2013.

Instytucja Zarządzająca Programem Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007–2013 Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi.



» POWIAT więcej na www.sp.olkusz.pl

10.10. Wernisaż wystawy malarstwa Marka i Marty Andaków oraz otwarcie ekspozycji poplenerowej „Lipovci 2013” (BWA Olkusz).

17.10. Wyróżnieniem w konkursie Federacji Regionalnych Związków Gmin i Powiatów RP uhonorowano Powiat Olkuski za zeszlatoroczny projekt „Dziecko w systemie pomocy społecznej w Polsce, Niemczech i na Ukrainie”. Inauguracja Forum Współpracy Międzynarodowej, połączona z wręczeniem nagród konkursowych, odbyła się w Krakowie.

17.10. „Depresja wśród dzieci i młodzieży” – taki był temat szkolenia, które odbyło się w siedzibie TKKF Ognisko „Zamek” Rabsztyn. Szkolenie przeznaczone było dla dyrektorów szkół oraz szkolnych koordynatorów ds. promocji zdrowia. Wykład wygłosił lek med. Ryszard Zajac – psychiatra dziecięcy.

24.10. Starosta Barbara Rzońca wręczyła nagrody w konkursie „Ekologiczne Sołectwo Powiatu Olkuskiego”. Laureaci zostali uhonorowani na uroczystym spotkaniu władz powiatowych i miejsko-gminnych z sołtysami Powiatu Olkuskiego w Galerii BWA w Olkuszu. Sołtysem roku został Marian Barczyk z Dłużca (gmina Wolbrom).

24.10. Marszałek Województwa Małopolskiego Marek Sowa odwiedził Olkusz. Spotkanie odbyło się w Centrum Kultury przy ul. Szpitalnej. Wizyta była częścią cyklu spotkań podsumowujących obecną kadencję samorządu wojewódzkiego.

27.10. Na płycie Rynku w Olkuszu odbyło się ślubowanie i pasowanie na uczniów klas pierwszych szkół mundurowych Zakładu Doskonalenia Zawodowego w Katowicach.



31.10. Promocja książki „Bośniacki kat” serbskiego pisarza Ranko Risojevića. Promowali ją w olkuskim BWA Agnieszka Żuchowska-Arendt – tłumaczka literatury oraz Marcin Staszewski – właściciel wydawnictwa „Nokturn”.

5-7.11. Zaduszki Jazzowe w olkuskim BWA.

6.11. W sali konferencyjnej Starostwa Powiatowego odbyła się uroczysta konferencja popularnonaukowa z okazji 10-lecia Stowarzyszenia „Szansa Białej Przemszy”.

7.11. Otwarcie ekspozycji Elżbiety Pióreckiej „Rytm w tkaninie i kompozycjach strukturalnych” (olkuskie BWA).

8.11. Finał X Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. K. Ratonia (olkuskie BWA). Laureatem został Wojciech Roszkowski z Tykocina.

11.11. Uroczyste obchody Święta Niepodległości na olkuskim Rynku.

21.11. Otwarcie poplenerowej wystawy z III Międzynarodowego Pleneru Malarskiego im. ks. Marcina Dubiela „Cieślin 2014” w olkuskiej Galerii Sztuki Współczesnej BWA.

24.11. Światowy Dzień Rzucania Palenia. W powiecie olkuskim również włączyliśmy się w obchody tego święta. Już po raz czwarty uczniowie szkół ponadgimnazjalnych wraz z gronem pedagogicznym wzięli udział w EVENCIE „Rzuć palenie razem z nami, nie przebywaj z palacjami! Jabłko zamiast papierosa” organizowanym przez Starostwo Powiatowe i Inspekcję Sanitarną w Olkuszu.



» GMINY więcej na stronach www.gmin

▪ BOLESŁAW ▪

17.10. Rozstrzygnięcie XXVII Jesieni Poetyckiej w bolesławskim Dworcu.

22.10. W Gminnej Bibliotece Publicznej im. Waśniewskich

w Bolesławiu odbył się gminny etap konkursu „Tropami kultury. Gruzja”. Konkurs przeznaczony jest dla uczniów klas IV - VI szkół podstawowych powiatu olkuskiego. Tematem jest kultura, sztuka i architektura Gruzji.

24-25.10. Uroczystość Jubileuszu 50-lecia pożycia małżeńskiego „Złote Gody” (bolesławski Dworek).

11.11. Uroczyste obchody rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości.

19.11. Wernisaż wystawy malarstwa Tomasza Awdziejczyka (Dworek w Krzykawce).

▪ BUKOWNO ▪

16.10. W Miejskim Ośrodku Kultury w Bukownie, w związku z obchodami Międzynarodowego Tygodnia Mediacji, odbyła się konferencja popularyzująca mediacje jako pozasądową formę rozwiązywania sporów.

22.10. Fundacja Muszkieterów oraz właściciel supermarketu Internarché oficjalnie otworzyli w Bukownie nowy plac zabaw.

11.11. Obchody rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości.

15.11. Akcja profilaktyczna „Biała sobota na Skalce”. W jej ramach można było bezpłatnie skorzystać z konsultacji specjalistów oraz z podstawowych badań, takich jak: badanie ciśnienia krwi, poziomu glukozy, badanie ostrości wzroku oraz badania USG.

23.11. Obchody 70. rocznicy pacyfikacji Boru Biskupiego.

▪ KLUCZE ▪

4.10. Z inicjatywy Samorządu Województwa Małopolskiego zorganizowano Małopolski Dzień Profilaktyki Zdrowia, podczas którego można było skorzystać z oferty 18 wojewódzkich podmiotów leczniczych – szpitali i jednostek ochrony zdrowia z terenu Małopolski na bezpłatne badania profilaktyczne, konsultacje ze specjalistami oraz wykłady o tematyce prozdrowotnej.

4.10. W Domu Kultury „Papiernik” w Kluczach odbył się koncert Chóru „Ziemia Kluczewska” GOK Klucze.

11.10. Wolontariusze Gimnazjum im. Jan Pawła II w Kluczach przeprowadzili 16. Akcję Zbiórki Krwi „Kropla Miłości”. Uczestnicy akcji spotkali się w szkole w Kluczach.

11.10. W Kluczach odbyło się „Święto Organizacji Pozarządowych”, na które zapraszali Wójt Gminy Klucze i Fundacja Biuro Inicjatyw Społecznych w Krakowie.

13.10. W Szkole Podstawowej im. Orła Białego w Jaro-



szowcu odbyła się potrójna uroczystość: 50-lecie działalności szkoły w obecnym budynku, Dzień Edukacji Narodowej i ślubowanie pierwszaków.

15.10. Przed Domem Kultury w Kluczach otwarto „Galerię pod srebrnym świerkiem” – to przedsięwzięcie Grupy Artystycznej „9-si!”, zrealizowane z pomocą środków Działaj Lokalnie VII. Powstały przed budynkiem Domu Kultury „ogród sztuk” to niekonwencjonalne miejsce kontaktu ze sztuką. Wczoraj, na czas otwarcia galerii plenerowej, wyeksponowano tam rzeźby na drewnianych postumentach oraz obrazy na sztalugach. Natomiast jako ekspozycja stała znajduje się tam betonowa ściana pokryta płaskorzeźbami. Wszystkie prace zostały wykonane przez artystów z grupy „9-si!”, a także przez uczestników zajęć w pracowniach plastycznej i ceramicznej.



Październik. W Hali Sportowej w Olkuszu odbył się Finał Wojewódzkiego Drużynowego Turnieju Uczniowskich Klubów Sportowych o Puchar Polskiego Związku Tenisa Stołowego.



wego. Klub z Jaroszwca reprezentowały dwie drużyny: dziewcząt w kategorii młodziczek (kl.V -VI) w składzie Aleksandra Baniś i Emilia Borowiecka oraz chłopców w kategorii żaków (kl. I-IV), w składzie Olaf Rydzik i Mateusz Duraj. Dziewczęta zajęły I miejsce, zdobywając Puchar i awans do Finału Ogólnopolskiego UKS-ów, który odbędzie się w listopadzie w Krakowie. Sukces odniosła też drużyna chłopców, która uplasowała się na III miejscu.



17.10. W Gminnej Bibliotece Publicznej w Kluczach odbyło się III spotkanie z cyklu spotkań pod hasłem „Podziel się swoją pasją”. Gościem była znana poetka, pisarka, malarza Barbara Litarska.

20.10. Gminna Biblioteka Publiczna w Kluczach zorganizowała dla dzieci spotkanie z Katarzyną Szojda – poetką, autorką tekstów piosenek i bajek. W spotkaniu uczestniczyły dzieci ze szkoły Podstawowej w Kluczach oraz zaproszeni goście: Jarosława Kraszewska - dyrektor Gminnego Zespołu Oświaty w Kluczach, Jarosław Nowosad – poeta, prozaik, autor recenzji i esejów, Wioletta Sarota-Stach – artystka i pedagog.

23.10. Otwarcie wystawy „Zagłębiacy i Ślązacy w legionach Polskich” (Gminny Ośrodek Kultury).

Październik. W filii Gminnej Biblioteki Publicznej w Jaroszwcu, w ramach działającego Dyskusyjnego Klubu Książki, odbyło się spotkanie autorskie z Barbarą Kosmowską, autorką książek dla młodzieży i dorosłych.

Październik. Spółdzielnia socjalna OPOKA otrzymała tytuł Najlepszego Przedsiębiorstwa Społecznego Roku 2014. Gala finałowa konkursu odbyła się w Pałacu Prezydenckim

w Warszawie. Prezydent Bronisław Komorowski objął patronat honorowy nad konkursem, a na gali obecna była m.in. małżonka prezydenta Anna Komorowska. Nagrodę dla najlepszego przedsiębiorstwa społecznego odebrały w Warszawie: Agata Świędziół – prezes „Opoki” i Agnieszka Ścigaj – wiceprezes.

28-29.10. Dwudniowy Konwent Centrów i Klubów Integracji Społecznej. Jest to projekt partnerski Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Dobroczyńnego w Kluczach i Instytutu Rozwoju Służb Społecznych, realizowany w ramach programu Ministerstwa Pracy i Polityki Społecznej „Aktywne Formy Przeciwdziałania Wykluczeniu Społecznemu” edycja 2011-2015.

9.11. Uroczystości w Bydlinie w związku z obchodami 100. rocznicy bitwy pod Krzywopłotami.

11.11. X Międzynarodowy Bieg Uliczny „Szlakiem Walk Legionistów” Bydlin-Krzywopłoty-Załęże, dla uczczenia 100. rocznicy walk legionistów pod Krzywopłotami.

27.11. Dzień Seniora w Kluczach.

■ OLKUSZ ■

6.10. Genowefa Bugajska, prezes Olkuskiego Stowarzyszenia „Miasta Partnerskie”, otrzymała zaszczytne wyróżnienie honorowe w VIII „Małopolskim Plebiscycie: Poza Stereotypem – Senior Roku 2013”, którego finał odbył się w Muzeum Armii Krajowej im. Generała Emila Fieldorfa – Nila w Krakowie. Małopolski Plebiscyt Poza Stereotypem – Senior Roku jest organizowany rokrocznie przez Regionalny Ośrodek Polityki Społecznej w Krakowie. Honorowy patronat nad tegorocznym plebiscytem objął Marek Sowa – Marszałek Województwa Małopolskiego. Ideą Plebiscytu



jest promowanie i nagradzanie aktywnych seniorów, którzy, nie zwracając uwagi na upływający czas, realizują własne pasje, dają siebie innym i kreują otaczającą rzeczywistość.

8.10. W olkuskim MOK-u wystąpiła Orkiestra Akademii Beethovenowskiej z adresowanym do dzieci projektem opartym na kompozycjach Witolda Lutosławskiego. Mali słuchacze poznawali m.in. instrumenty, orkiestrę, a także tajniki powstawania utworów muzycznych. Te ostatnie w kontekście ludowych inspiracji, które miały znaczący wpływ na twórczość Witolda Lutosławskiego. Muzykę tego kompozytora, uznawanego za najwybitniejszego w Polsce obok Fryderyka Chopina i Karola Szymanowskiego, dodatkowo uatrakcyjniły wyświetlane na kinowym ekranie filmy. Orkiestrze Akademii Beethovenowskiej towarzyszył tego dnia chór Cracow Singers. Dzieci usłyszały w ich wspólnym wykonaniu takie utwory, jak „Kotek”, czy „Idzie Grześ”, skomponowane przez Witolda Lutosławskiego do słów wierszy Juliana Tuwima.



11.10. W Centrum Kultury w Olkuszu (ul. Szpitalna 32) odbyła się konferencja popularnonaukowa, której tematem przewodnim była „Wielka Wojna na ziemi olkuskiej”. Projekt objęty został patronatem honorowym Burmistrza Miasta i Gminy Olkusz, Marszałka Województwa Małopolskiego oraz Starosty Powiatu Olkuskiego.

16.10. Wystawa grafiki i rysunku znanych olkuskich twórców „UWIERZ”, poświęcona tematowi walki z rakiem w kontekście zwycięstwa nad chorobą (MOK Olkusz). Organizatorzy: Stowarzyszenie „Zielone Światło”, MOK Olkusz. Na ścianach sali wystawienniczej MOK zobaczyć można było zobaczyć grafiki i rysunki Stanisława Jakubasa, Michała Kwarciaka, Jacka Majcherkiewicza, Wioletty Saroty-Stach oraz Stanisława Stacha. Uzupełniały je ilustracje do tomików „Drzewo życia” i „Ujeżdżem raka” wydanych staraniem Stowarzyszenia „Zielone Światło”, a także cykl prac pt. „Kobiety są jak motyle”, wykonanych przez zaangażowaną w profilaktykę nowotworową doktor Ewę Burakowską.

24.10. Obchody 60-lecia Miejskiego Ośrodka Kultury w Olkuszu.

29.10. Promocja najnowszego tomiku poezji Krystyny Dziurzyńskiej pt. „Widok z okna” (MOK Olkusz).

10.11. Patriotyczny koncert z okazji rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości (Centrum Kultury MOK). Wystąpił Chór Olkuskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku pod kierunkiem Doroty Stachowicz-Mączki oraz Olkuską Reprezentacyjną Orkiestrą Dęta pod batutą Wiesława Drygały.



Listopad. Szkoła Tańca „Wena” liderem Mistrzostw Polski. Po raz kolejny trenujący w MOK-u w Olkuszu i w Krakowie tancerze dali dowody swych talentów i potwierdzili umiejętności

prowadzących ich szkoleniowców. Na XXI Otwartych Mistrzostwach Polski Freestyle Twardogóra 2014 zdobyli aż 14 medali.

21.11. Wernisaż wystawy „Jacek Taszycki – rysunki ostatnie”, zorganizowany w 10. rocznicę śmierci artysty (Centrum Kultury MOK).

30.11. Spektakl „Kochanie na kredyt” w olkuskim MOK.

▪ TRZYCIĄŻ ▪

5.10. VIII Święto Ziemiaka. Festyn poprzedziła uroczystość zakończenia prac przy Odnowionym Centrum Jangrota, która rozpoczęła się mszą świętą w kościele pw. św. Jana Chrzciciela w Jangrocie.

14.10. Uroczyste otwarcie nowo wybudowanego budynku sali gimnastycznej przy ZS w Zadrożu.

9.11. W Leśniczówce na Podchybiu obchodzono Dzień Św. Huberta.

11.11. Obchody 96. rocznicy odzyskania niepodległości przez Polskę.

▪ WOLBROM ▪

11.10. Koncert zespołu T. Love w wolbromskim Domu Kultury.

Październik. W wolbromskiej FTT miała miejsce uroczystość wręczenia zasłużonym pracownikom odznaczeń Prezydenta RP za długoletnią służbę i odznak „Zasłużony Pracownik”. W imieniu Prezydenta RP Bronisława Komorowskiego przyznane wytypowanym przez Zarząd Fabryki Taśm Transporterowych w Wolbromiu zasłużonym pracownikom odznaczenia wręczył Wojewoda Małopolski Jerzy Miller.

11.10. Uroczystość otwarcia i poświęcenia wyremontowanej remizy w Porębie Górnej.

15.10. Zespół Szkół w Gołaczewach świętował aż z trzech powodów: uroczyste obchody Dnia Edukacji Narodowej połączone ze ślubowaniem klas pierwszych oraz z oddaniem do użytku nowych pomieszczeń dostosowanych do potrzeb placówki, jako kontynuacji rozpoczętej w roku 2010 rozbudowy szkoły.

15.10. Po raz dziewiąty Środowiskowy Dom Samopomocy w Wolbromiu był organizatorem IX Małopolskiego Turnieju Gry w Szachy i Warcaby 100-polowe. W szranki turniejowe stanęło 35 reprezentantów 8 Środowiskowych Domów Samopomocy z całego województwa. Wyniki na stronie internetowej gminy.

19.10. OSP w Wolbromiu obchodziła jubileusz 120-lecia swojego istnienia.

20.10. Mieszkańcy Chelmu, a zwłaszcza strażacy z lokalnej jednostki OSP świętowali oddanie do użytku nowego budynku strażnicy OSP, w której znalazła siedzibę świetlica wiejska.

Październik. TRI (Poland) Sp. z o.o. w Wolbromiu po raz drugi zostało zwycięzcą małopolskiej edycji konkursu „Pracodawca - organizator pracy bezpiecznej” w kategorii zakładów pracy powyżej 250 pracowników. Uroczyste wręczenie nagrody odbyło się z końcem października, w trakcie gali 95-lecia Państwowej Inspekcji Pracy, jaka miała miejsce w Krakowie.

9.11. Obchody 100. rocznicy bitwy w Załężu.

11.11. Obchody rocznicy odzyskania niepodległości przez Polskę.



11.11. Społeczność Strzegowy uczciła wspólnie 100. rocznicę pobytu na ich plebanii parafialnej marszałka Józefa Piłsudskiego wraz z wojskiem. Z tej okazji obok plebanii stanął kamień z pamiątkową granitową tablicą, upamiętniającą wydarzenia sprzed wieku.

23.11. Poświęcenie przez proboszcza parafii w Porębie Dzierżnej lokalnej Izby Tradycji Ludowej w Miechówce.

TROCHĘ INNY LESERS BEND

Zgrudniowym numerem miesięcznika literackiego „Lampa” dostępna będzie płyta kompaktowa olkusko-bielskiego zespołu Lesers Bend. Jest to pełnowymiarowy album z premierowym materiałem, zatytułowany „Ludzie wędrowni”.

Jaka jest ta nowa płyta Lesers Bend? Na pewno inna niż poprzednie. Na tyle inna, że ktoś osłuchany z wcześniejszymi produkcjami zespołu może z początku mieć pewne trudności z jej zaakceptowaniem. Co nie znaczy, by była zła!

Wątpliwości starego fana może budzić „piosenkowa” formuła płyty. Ponad godzinny album składa się ze stosunkowo krótkich utworów, przeważnie nie przekraczających pięciu minut. Tymczasem największą siłą Lesersów są większe, nieraz kilkunastominutowe formy muzyczne. Znalazło to swe ukoronowanie na poprzedniej płycie, zatytułowanej „Lesers Bend”, mającej formę swoistej suity – wieloczęściowej, a jednak zwartej całości. Słuchanie Lesers Bend w krótkich formach – to jak słuchanie Pink Floyd z singli. Muzyka dobra, nawet bardzo dobra, ale jednak nie dająca wyobrażenia o rzeczywistych możliwościach zespołu. Tych panów stać na dużo więcej.

Czego jeszcze brakuje na tej płycie? Głosu Łukasza Jarosza, szczególnie jego melodeklamacji. Bębniarz-poeta na każdej z poprzednich płyt Lesers Bend ozdabiał rzeczne długie kompozycje recytacją swoich wierszy, kontynuując eksperymenty Pokoleń Beatu. Wystarczy posłuchać świetnego albumu „Gea”, by pojąć, o co chodzi. Tymczasem na „Ludziach wędrownych” Łukasz – współkompozytor całego materiału – swój udział wykonawczy ograniczył do gry na perkusji i udziału w chórkach. Głównym wokalistą Lesersów jest tu Radek Ozga, gitarzysta grupy,

aktualnie pełniący także obowiązki basisty i klawiszowca (Lesers Bend to teraz duet).

Wiemy już, czego na nowym krążku Lesers Bend nie ma. A co jest?

Można powiedzieć, że znajdziemy tu w zasadzie wszystkie główne wyznaczniki ich stylu. Jedyнным absolutnym zaskoczeniem będzie utwór „Pozycje”, budzący odległe skojarzenia z Dead Can Dance (w wariacie Brandonowym). Gdzie indziej prawie od razu rozpoznamy, że to Leserzy. Bas i perkusja – po nowofalowemu motoryczne; gitary rodem z Zimnej Fali; rozmarzony, jak gdyby „nieobecny” wokal... Klimaty z płyty „Gea” przywołuje choćby „Europa” (łagodne, refleksyjne partie gitar, spokojna gra sekcji rytmicznej), czy instrumental „Wędrowcy” (dużo naturalistycznych efektów dźwiękowych). Nagłe wejście gitar akustycznych w „Chmurze” wydaje się wręcz powtórzeniem pomysłu aranżacyjnego z „Wyspy”. „Rozmyte”, oniryczne brzmienia rodem z albumu pt. „Lesers Bend” odnajdziemy np. w balladowych „Jeziorach” lub szybszym „Mgnieniu”. Jednak prawie żaden z tych utworów nie znajduje – jak to dawniej bywało – należytego rozwinięcia. Właśnie wtedy, gdy mogłyby się zacząć najlepsze instrumentalne harce, nagranie się kończy, nieraz bardzo gwałtownie.

Chlubnym wyjątkiem jest blisko dziesięćminutowe „Gdziekolwiek”. Otwierająca piosenkę solówka gitary jedynie zapowiada to, co ma nastąpić później, kiedy wokal zamilknie. Długa improwizacja z psychodelicz-



nymi przekształceniami sonorycznymi prowadzi (krę-
tą, dodajmy, drogą) do krótkiej – zbyt krótkiej – kla-
wiszowej cody. To chyba najlepszy utwór na płycie.
Oczywiście, oryginalność Lesers Bend zawsze brała się
– między innymi! – z twórczego łączenia wpływów
New & Cold Wave z elementami psychodelii oraz pro-
gresji. Nie mogło tego zabraknąć i tutaj. Za przykład
weźmy zaskakujące zmiany metrum w „Mgnieniu”.
Parzysty, rockowy rytm przechodzi nagle w kręcące
się 6/8, by gitara mogła zagrać solówkę, a występują-
ca gościnnie Marta Jarosz – wykonać wokalizę. Zmia-
ny tempa odnajdziemy choćby w „Zasłonie”. Zabawy
dynamiką i barwą – prawie wszędzie! Przykładowo
„Biel” to w warstwie instrumentalnej punkowa jazda,
ale wokale nie ma z punkiem wiele wspólnego. Z kolei
w „Rozłące” riff grany na gitarze akustycznej kontra-
stuje z solową partią gitary elektrycznej i z mocnymi
bębnami.

Można też odnaleźć na „Ludziach wędrownych” nowy
element, którego wcześniej w muzyce Leserów nie
było, lub występował śladowo. Chodzi o inspiracje
tym czymś, co na Zachodzie zwać „folklem”, a u nas –
„piosenką poetycką” lub „Krainą łagodności”. Najbar-
dziej dosłownie daje to znać o sobie w krótkich, aku-
stycznych piosenkach „Podróż” i „Motyw”. Melodia
„Jezior” dużo bardziej kreatywnie nawiązuje do twó-
rczości Marka Grechuty. „Wędrowców” – prawdopo-
dobnie najlepsze nagranie instrumentalne na tej pły-
cie – kończy klasycyzująca partia altówki (gościnnie
udział Martyny Dziechciarz). „Lustra” – mimo ewi-
dentnie crimsonowych inspiracji – mają melodię
rodem z teatralnego songu (szczególnie sły-
chać to w bardzo zgrabnym refrenie).

Jeszcze słowo o... słowach. Jak zwykle,
autorem prawie wszystkich tekstów
jest Łukasz Jarosz. Jedyne wyjątki – to
„Podróż” (napisana wspólnie z Pio-
trem Maurem) i „Gdziekolwiek”
(tu wykorzystano wiersz Edwar-
da Stachury). Tym razem – i tu
jeszcze jedno zaskoczenie –
są to wyłącznie teksty typo-
wo „piosenkowe”: wyraźnie
zrytmizowane i rymowane.

Niemniej ich tematyka nie odbiega z nadto od wier-
szy, które poeta zamieszcza w tomikach. Tu i tam są
to zapisy uważnej obserwacji przemijania.

Lesers Bend z pewnością nie zdradził typowej dla sie-
bie stylistyki, choć tym razem, być może, nadal jej tro-
chę z nadto skondensowaną formę. Czy płyta „Ludzie
wędrowni” okaże się jednorazowym eksperymentem,
czy może zapowiedzią nowego kierunku, w jakim
muzycy podążą – trudno przewidzieć. Z pewnością
warto będzie śledzić ich dalsze poczynania, pod tą
czy inną nazwą. ■

Jarosław Nowosad

• LESERS BEND •

„Ludzie wędrowni”; Genital Sector Music, 2014.
Muzyka: Lesers Bend; teksty: Łukasz Jarosz, Piotr
Maur, Edward Stachura. Wykonawcy: Radek Ozga
– gitary, głos, gitara basowa, elektronika; Łukasz
Jarosz – perkusja, chórki, instrumenty perkusyjne.
Gościnnie: Martyna Dziechciarz – altówka; Marta
Jarosz – głos; Wadim Jarosz – akordeon. Nagrano
w studiu „Smok” (czerwiec – listopad 2014); pro-
dukcja i realizacja nagrania – Miłosz Kieres. Płyta
rozprowadzana z grudniowym numerem czasopi-
sma „Lampa”.





Nieświszczyk zaświszcze czasem...

Bajki dla dzieci to nie jest kaszka z mleczkiem. Wiadomo, to już truizm, ale powtórzmy – dla dzieci trzeba pisać tak, jak dla dorosłych, tyle że lepiej. Jako doświadczony „w bojach” ojciec dwójki dzieci, wiem, że małe dzieci byle kytu nie łykną. Nie dla nich strumienie świadomości, zabawy formalne, postmodernizmy i inne sposoby ukrywania faktu, że się nie wie nie tylko co napisać, ale i jak napisać. Olkuska autorka Katarzyna Szojda wie. I właściwie mógłbym skończyć recenzję, bo dobra recenzja – to krótka i precyzyjna recenzja.

Tak samo jest zresztą z bajkami – dobre bajki są najczęściej krótkie i z wyraźnym przesłaniem, np. wilk jest zły, a myśliwy dobry, choć w życiu, dzięki działalności wielbicieli przyrody wiemy, że tak naprawdę to nie do końca ta klasyczna koincydencja ma pokrycie w rzeczywistości. Bajki Katarzyny Szojdy są napisane tradycyjnie, i są wierszowane. I to jest ich

ogromna zaleta. Wiem, bo testowałem na swoich dzieciach wiele tekstów i największą radość sprawiają im rymowane bajki. Nie zawadzi, jeśli są absurdalne, bo dzieci lubią nonsens. Jednak zastrzeżenie: lubią, by ten absurd był podany w dowcipnej formie. Właśnie w takim duchu, przypominającym angielskie wierszyki pur-nonsensowe, jest pierwsza w książce „Bajka-niezpominajka”, zaczynająca się dwuwierszem: „Jeśli niedźwiedź nie jest dźwiedziem, / to czymże u licha?”.

Bajki Szojdy są więc wesołe i bezpretensjonalne. To ich ogromna zaleta. U tej autorki nawet z pozoru smutna bajka o krecie-egoiście zamienia się w przypowieść o przyjaźni i wzajemnej współpracy. Podobnie jest z opowieścią o puchaczku somnambuliku, złęknionym obecnością tajemniczych śladów pod drzewem. Nie, nie mogę wyjawiać puenty, by nie zepsuć efektu zaskoczenia. Nawet samotna papuga szukająca partnera (to bajka o samotności w tłumie, bo przecież wokół jest sporo innych zwierząt) kończy się nutką nadziei, że ta samotność się wnet skończy i pojawi się jakiś kawaler. Znakomita jest bajka o ślimakach, między którymi rodzi się uczucie, z puentą, która mówi o tym, iż nieważne gdzie się wędruje, ale z kim. I nie czepiam się tej opowieści, choć można jej zarzucić

cd. str. 12 »

małe błędy merytoryczne, wszak ślimaki są obojnakami (wybierają sobie płeć stosownie do chwili).

Autorka nie tylko sprawnie posługuje się rymem i rytmem (w końcu ma na koncie publikacje wierszy), ale wplata w teksty swoich bajek pewne postawy filozoficzne, bliskie stoicyzmowi i sceptycyzmowi. Nie dziwi to, wszak ukończyła studia filozoficzne. Postawę sceptyczną wykazuje np. zwierzę ze wspomnianej już bajki o krecie Wiercipięcie. Nie wiemy, jakiego gatunku zwierzęciem jest ów zwierzę, ale za to mamy dobrze skrojony jego rys charakterologiczny: „Nie zachwycał się, nie płasał / ani też nie potakiwał; / trochę jakby się nadał, / coś pod nosem pomrukiwał...”, ale jednak – jak na filozofa-sceptyka wypada – nie wydał sądów o rzeczywistości.

Osobna sprawa to ilustracje. Autorka wpadła na pomysł, by jej teksty zilustrowane były przez artystów uznanych (Irena Kiełtyka i Wioletta Sarota-Stach) i – przepraszam za słowo – nieprofesjonalnych, czyli dwoje młodych ludzi: Dorotę Molendę i Zbyszka Karonia, uczestników warsztatów terapii zajęciowej w Lgocie Wolbromskiej. Ilustracje są znakomite, świetnie oddają ducha bajek.

Niektórzy rodzice utrzymują, że dobra bajka – to taka, która szybko i skutecznie uspi dzieciaka. Tak rozumując, bajki Katarzyny Szojdy dobre nie są, bo gdy czytałem je swojemu synowi, nie okazywał symptomów senności, a wręcz przeciwnie: ożywienia. Myślę, że sporo z nich wyniósł mądrości, która przyda mu się w życiu. ■

Olgerd Dziechciarz

Katarzyna Szojda

„Bajko-nur, czyli nura w bajkę”

Ilustracje:

Irena Kiełtyka, Dorota Molenda, Wioletta Sarota-Stach, Zbyszek Karoń, s. 62

Olkusz 2014

Z „BOŚNIACKIM KATEM” W BWA



„Bośniacki kat” – to tytuł powieści, której autorem jest serbski pisarz Ranko Risojević. Niedawno książkę tę opublikowało po polsku wydawnictwo „Nokturn”. W piątkowy wieczór 31 października promowali ją w Olkuskim BWA Agnieszka Żuchowska-Arendt – tłumaczka literatury oraz Marcin Staszewski – właściciel wydawnictwa.

Krakowskie wydawnictwo „Nokturn” specjalizuje się w publikowaniu literatury bałkańskiej – mało u nas znanej, a z pewnością wartą popularyzacji. Tłumaczka wraz z wydawcą odwiedzili olkuskie BWA już raz, w marcu tego roku, gdy promowali zbiór opowiadań Refika Ličiny pt. „Szkłarnie”. Taka aktywność wydawnictwa w promowaniu swoich publikacji jest równie godna pochwały, jak sama idea popularyzowania u nas pisarzy z obszaru byłej Jugosławii. Wydając literaturę wartościową, a zarazem taką, która nie „sprzedaje się sama”, warto dotrzeć z nią jak najbliżej potencjalnego czytelnika. Wydawnictwo organizuje zatem spotkania promocyjne nie tylko w galeriach sztuki czy podobnych miejscach spotkań miłośników kultury, ale i np. w szkołach. Zasady tej trzymano się również w Olkuzs: tego samego dnia przed południem zorganizowano spotkanie z uczniami I Liceum Ogólnokształcącego.



Taka strategia promocyjna przypomina nieco trasę koncertową promującą płytę...

„Dlaczego w spotkaniach nie bierze udziału autor?” – mógłby ktoś zapytać. Spotkanie rozpoczął pokaz krótkiego materiału filmowego, w którym kwestię tę wyjaśnia sam Ranko Risojević. Otóż pisarz został właśnie laureatem prestiżowej nagrody, która wręczana jest w Belgradzie. W związku z tym czekają go liczne spotkania z czytelnikami „u siebie”. Z trudem jedynie znajdzie czas, by uczestniczyć w promocji książki w Warszawie. Jego nieobecność w olkuskiej Galerii Sztuki Współczesnej BWA była zatem jak najbardziej usprawiedliwiona. Agnieszka Żuchowska-Arendt i Marcin Staszewski godnie reprezentowali pisarza, opowiadając o nim samym i o całej współczesnej literaturze bałkańskiej, a przede wszystkim przedstawiając samą książkę.

O ile „Szkłarnie” Ličiny nawiązywały przede wszystkim do najnowszej historii ziem byłej Jugosławii, to „Bośniacki kat” Ranko Risojevića zabiera nas w odleglejsze czasy, bo w początki XX wieku. Bośnia i Hercegowina znalazły się wówczas pod jurysdykcją cesarsko-królewskich Austro-Węgier. Głównym bohaterem jest niejaki Alois Seyfried, którego praca polega na... wykonywaniu egzekucji. Nie jest on wszakże postacią jednowymiarową – zabija skazańców, bo taki ma zawód, ale poza tym jest zupełnie normalnym człowiekiem, mającym prywatne życie, znajomych, zainteresowania itp. Tło jego losów – a więc Sarajewo sprzed wybuchu I wojny światowej – autor przedstawił, jak twierdzą znawcy, bardzo wiarygodnie, wykazując nieprzeciętną wiedzę historyczną.

Ważnym wątkiem jest też zetknięcie człowieka Zachodu ze światem Orientu, uosabianym przez starożytnego tureckiego kata Mustafę. Fragmentem powieści, który w BWA tłumaczka odczytała, był zresztą dialog, w którym obaj kaci dyskutują o tym, czy kaźń powinna być wykonywana w sposób możliwie humanitarny, czy wręcz przeciwnie – maksymalnie okrutny. Dalszy ciąg sporu tych dwóch postaci dowodzi, że stereotypy dotyczące Wschodu i Zachodu są w najlepszym razie uproszczeniem. Na nieproste zależności między kulturami nakładają się nie mniej skomplikowane relacje głównego bohatera z otaczającymi go ludźmi (również z własnym synem).

„Bośniacki kat” przyniósł swemu autorowi nagrodę Serbskiej Akademii Nauk i Umiejętności. Warto, aby docenili go też polscy czytelnicy. Spotkanie w Olkuzie było okazją, by „Bośniackiego kata” (a także wspomniane już „Szkłarnie” Ličiny) kupić w promocyjnej cenie. Jednak nawet ceny detaliczne obu książek nie wydają się wygórowane.

Podczas spotkania Agnieszka Żuchowska-Arendt opowiadała o własnym odkrywaniu literatury bałkańskiej. Jak się dowiedzieliśmy, w przygotowaniu do druku jest kilka kolejnych, przetłumaczonych już książek. Aktualnie tłumaczka doskonali znajomość języka słoweńskiego, aby móc tłumaczyć autorów również z tego kręgu. Od Marcina Staszewskiego dowiedzieliśmy się, iż literatura byłej Jugosławii fascynuje go od czasów studenckich. Wydawnictwo „Nokturn” jest realizacją owej pasji, jednak – jak podkreślił – dokładnie zaplanowaną i skalkulowaną.

Wydawnictwu i tłumacze życzymy sukcesów. To dobrze, że znalazł się ktoś, kto chce przybliżyć polskiemu odbiorcy niesłusznie obcą mu literaturę bardzo specyficznego, a przez to ciekawego, obszaru Europy. Zaangażowanie w promocję publikowanych książek również dobrze wróży temu bardzo jeszcze młodemu wydawnictwu. „Nokturn” ma szansę wypełnić istotną lukę na naszym rynku wydawniczym.

Na pewno warto sięgnąć po „Bośniackiego kata” Risojevića, podobnie, jak po „Szkłarnie” Ličiny. Zresztą każdą dobrą literaturę warto czytać. ■

**Tekst: Jarosław Nowosad
Zdjęcia: Olgerd Dziechciarz**



Oferta nr 120/5/2012

Nareszcie. Gary umyte. Jeszcze tylko mopem przetrzeć kafelki w kuchni i drzemka. Pół godzinki dla słoninki. Wiem, nie powinnam tak po obiadku polegiwać. Lepiej wsiąść na rower stacjonarny i z dziesięć minut pokręcić. Ale co zrobić? Zawsze między 13.00 a 14.00 oczy mi się same zamykają. Jakież było moje zdziwienie, gdy przed paru laty irydolog, badając tęczęwki moich oczu, powiedział mi o tej przypadłości.

Nagle ostry dzwonek do drzwi. O Jezu, kogo tam niesie? W pół uchylonych drzwiach ukazała się sylwetka stryja Henia. Nie czekając na zaproszenie, z lekka mnie odępcznąwszy, wtoczył się do przedpokojku, rozsiewając odór alkoholu.

– Dobrze, że jesteś, Krycha. Byłem u Wojtka, ale mnie ta inteligencja szpagatowa nie wpuściła.

– O kim stryj mówi?

– Jak to o kim? O mojej synowej! Bo wiesz, ona tak bułkę przez bibułę. – I splunął za siebie.

– Sama jesteś? – spytał ścisłym głosem i zaczął się rozglądać po mieszkaniu.

– A z kim mam być? Przecież stryj wie, że syn z rodziną mieszka na Śląsku.

– Nie masz tu nikogo? Powinnaś sobie życie ułożyć. Ten twój to już na pewno z pięć lat nie żyje. Kawał z ciebie jeszcze kobity. Masz na czym siedzieć i czym oddychać. Najwyższy czas, abys sobie jakiegoś chłopca znalazła.

– Przecież stryj wie, że nigdzie nie chodzę, to gdzie kogo poznam? Czego się stryj napije? Kawy, herbaty, może soku?

– Nie masz czegoś mocniejszego, tak na klina? Błąd, że nigdzie nie chodzisz, Krycha.

– Mówiłam już stryjowi, aby nie mówił mi „Krycha”.

– Wszystkie zrobiliście się takie delikatne. Synowa też nie życzy sobie, abym mówił do niej Stefka, tylko Stenia. Wszystko to babskie fanaberie. – I lekceważąco machnął ręką.

– Jak moja odeszła, Panie świeć nad jej duszą, to czuję się taki samotny, że w domu usiedzieć nie mogę. Agnieszka mieszka w Krakowie. Tam pracuje i studiuje. A teraz doktorat robi. Mówię: „Córku, bardzo dobrze. W suterynie gabinet się urządzi, ludzi będziesz leczył. Grosz ci się będzie sypał, drzwiami i oknami”. A ona mi mówi, że to doktorat z politologii. Ty wiesz, co to ta politologia?

– Trochę wiem – bąknęłam.

Nie czekając na moją odpowiedź, ciągnął dalej:

– Po co my ze słubną tak wszystkiego sobie odmawialiśmy i chałupę żeśmy zbudowali? Dzieci dwoje i oboje poza domem. Na starość ojciec im śmierdzi. Bloki lepsze!

– I oczy mu zwilgotniały. – Wiesz, wracam od kolegi w Siemianowicach, na kopalni razem pracowaliśmy. To były czasy – westchnął. – On też owdowiał. Trzy dni byłem u niego. Przewróciliśmy kilka pokerków, osuszyliśmy kilka butelek.

– Już ja wiem, jak te męskie spotkania wyglądają – wtrąciłam. – Później w mieszkaniu jak chlewie. Pod sufitem to można siekierę powiesić, tyle dymu.

– Gadasz jak moja stara, Panie świeć nad jej duszą. – I przeżegnał się w pośpiechu. – Daj no popielniczkę, chcę zapalić. Coś się tak skrzywiła? Przecież twój palił i to dużo.

– Ale ja mam teraz chore serce i dym mi szkodzi.

– To przez to, żeś sama. Jak człowiek nie pali, nie pije to znaczy, że nie żyje. Nalej no stryjowi jakiegoś kielonka. Nie bądź chytra, tak mnie suszy.

– Nie mam w domu alkoholu.

– To pożycz z pięć dych.

– Nie mam tyle, jestem przed emeryturą.

– To pożycz, ile masz.

– Tylko trzydzieści.

Skrzywił się.

– Trochę mało. Ale na bezrybiu i rak ryba. To dziękuję, oddam przy okazji.

Wiedziałam, że nie odda.

– Już ja się postaram, abys, Krycha, nie była sama – krzyknął już za drzwiami. „Oby tylko nie chciał mnie swatać” – pomyślałam z lękiem.

Po jego wyjściu pozostał zapach alkoholu pomieszany z dymem tanich papierosów. Otworzyłam okno.

– Boże, jak dobrze, że mieszkam sama – westchnęłam.

Na nic by się nie zdało tłumaczenie stryjowi, dlaczego nie znosiłam, gdy ktoś nazywał mnie „Krycha” i skąd wzięła się ta niechęć.

Któregoś majowego poranka wybrałam się na spacer pod las. Młoda zieleń i parująca po nocnym deszczu ziemia nastrajały pozytywnie. Szłam koło świeżo oddanego bloku, podziwiając jego architekturę.

– Krycha! Krycha! – usłyszałam.



Tak kiedyś nazywał mnie kolega z podstawówki, nosił mi teczkę i czekał na mnie pod bramką rodzinnego domu. „Ile to lat minęło?” – zamyśliłam się. – „Niemożliwe, żeby to był on. Prawdopodobnie wyemigrował do Australii w latach osiemdziesiątych”. Serce zabiło mi mocniej, przystanąłam.

Wtem zza bloku wyłonił się tęgi łysy facet w szlafroku, a obok niego szła wyleniająca suka bokserka, której z pyska ciekła obficie ślina.

– Cholera – zaklęłam w duchu – suka nosi moje imię. Stąd zwrot „Krycha” z ust stryja przywoływał widok bokserki i wprowadzał mnie w irytację.

Dni tak szybko biegną i już połowa czerwca. Na naszym małym ryneczku stoiska sprzedających kuszą świeżymi jarzynami. Wokół pełno kobiałek truskawek, są już pierwsze czereśnie i nawet maliny.

Wracałam objuczona zakupami, gdy spotkałam sąsiadkę.

– Pani Krysiu, czeka na panią jakiś facet z trójką małych dzieci.

Przyspieszyłam kroku, wysilając szare komórki. Nie mogąc sobie przypomnieć, kto z rodziny miałby kilkoro małych dzieci.

Podchodzę pod klatkę schodową bloku. Rzeczywiście, na ławce siedzi mężczyzna z trójką dzieci. Jedno śpi mu na kolanach, obok niego dwie dziewczynki. Ta jedna około sześciu lat, druga może trzy, może cztery, ze smoczkiem w buzi.

– Pan do mnie? – spytałam, nie kryjąc zdziwienia.

– Wandziu, Zosiu przywitajcie się, to jest wasza nowa mamusia.

– Jaka mamusia? – pytam podniesionym głosem.

Śpiące dziecko budzi się, zaczyna płakać:

– Tata, am!

– Tatusz musi kupić soczku, bo wypiliście wszystko po drodze.

Mężczyzna, lekko się zacinając, mówi:

– Mnie nie przeszkadza, że pani jest starsza. Mamusia też była od tatusia starsza o dwadzieścia lat. Była wdową, gdy tatusz się z nią ożenił. Bardzo się szanowali i żyłoby ze sobą aż do naturalnej śmierci, gdyby tatusia nie przygniotło drzewo w lesie. Ja byłem wtedy w wojsku.

– Ale zaszło jakiś nieporozumienie! Ja nie szukam męża... Nieznajomy mi przerywa:

– Nawet się ucieszyłem, że pani jest w tym wieku. To już rodzic nie będzie. Wystarczy nam ta czwórka.

– To jest jeszcze czwarte dziecko?

– Tak. Jeden rodzynek, Kuba, ma dwanaście lat. Pojechał na kolonię nad morze. Pomoc społeczna go wysłała.

Najmłodsza dziewczynka płacze. Chce się jej pić.

Smoczkowa chce siku.

– My, proszę pani, jesteśmy spod Warszawy. Jechaliśmy całą noc, dzieci są zmęczone.

Moje zdenerwowanie osiąga fazę wrzenia, ale widok tej trójki bezbronych istot powoduje, że odzywa się instynkt macierzyński.

– Chodźcie do mieszkania, zapraszam. A skąd pan ma mój adres?

– Z biura matrymonialnego. Jak przeczytałem, że pani jest pielęgniarką i lubi wieś, to się tak ucieszyłem. Bo wie pani, ja jestem wdowcem. Żona mi zmarła, rodząc Paulinkę. Pracowałem w kółku rolniczym jako kierowca, a dziećmi opiekowała się moja matka. Mam kawałek pola, skromnie było, ale jakoś się żyło. Ale pół roku temu matka zmarła na wylew, kółko rolnicze rozwiązano, a ja jestem teraz na zasiłku. Kumoter mi doradził, abym w biurze matrymonialnym szukał żony.

W domu pomogłam dzieciom umyć się. Dałam wszystkim jeść i pić. Smoczkowa od razu przygłnęła do mnie.

– Będiesz moją mamusią? – pytała co chwile.

– Panie, żal mi dzieci, ale ja mam poważne kłopoty ze zdrowiem. Nie mam siły ani ochoty zakładać nowej rodziny. Było to szaleństwo z pana strony jechać w ciemno z małymi dziećmi tak daleko.

Przez telefon dowiedziałam się, o której mają pociąg. Dobrze, że przystanek autobusowy pod nosem. Zrobiłam kanapki na drogę i picie. Ucisnęłam dzieci i wcisnęłam facetowi sto złotych do kieszeni. Po ich wyjściu bolała mnie głowa.

– Już ja sobie wypożyczę stryja Henia – pomyślałam. Wypilam proszek i poszłam spać.

Było już dobrze ciemno, gdy zbudził mnie telefon.

– Cześć kuzyneczko, mówi Wojtek. Dużo ofert matrymonialnych dostałaś? Jak mi ojciec powiedział, że chcesz sobie życie ułożyć i nie wiesz jak, postanowiłem ci pomóc i wysłałem twoją ofertę do biura.

– Co w niej napisałaś?

– „Wdowa po górniku, pod sześćdziesiątkę, z zawodu pielęgniarka. Kochająca wieś i dzieci. Poślubi mężczyznę w odpowiednim wieku, może być młodszy”.

– Wojtek, bój się Boga! Coś ty zrobił?! Gdyby tak postąpił twój ojciec, to bym się nie zdziwiła, bo to prosty człowiek. Ale ty, wykształcony facet?!

– No wiesz?! Chciałem dobrze, a kuzynka z pretensjami! Prawdę mówi porzekadło, że „z rodziną – to tylko na zdjęciu”. – I się rozłączył.

„Rzeczywiście – pomyślałam. – Z rodziną – to tylko na zdjęciu dobrze”. ■



URODZINY MOK-U



MIEJSKI OŚRODEK KULTURY W OLKUSZU MA JUŻ 60 LAT!

URODZINY OBCHODZIŁ 24 PAŹDZIERNIKA 2014 ROKU.

UROCYSTYM KONCERTEM NA DUŻEJ SCENIE DOMU KULTURY UCZCZONO JUBILEUSZ
TEJ ZASŁUŻONEJ PLACÓWKI KULTURALNEJ.

60 lat to szacowny wiek. Dla instytucji kultury oznacza to tysiące różnorodnych imprez: spektakli teatralnych, koncertów, seansów filmowych, spotkań, konkursów, prelekcji i wystaw. Przedewszystkim jednak sześć minionych dekad istnienia MOK-u to setki tysięcy osób, które przewinęły się przez tutaj: przez scenę, sale wystawowe, jak i przez widownię. Dla każdego chyba mieszkańca ziemi olkuskiej Miejski Ośrodek Kultury w Olkuszu – to wspomnienia. Czy były to emocje podczas projekcji filmu, czy pełne radości oczekiwanie na początek koncertu ulubionego wykonawcy lub zespołu; trema przed pierwszym wyjściem na scenę, duma z udanego występu lub udziału w wystawie – wszyscy dobrze pamiętamy przynajmniej jedną chwilę przeżywą w tym miejscu, w tej instytucji.

Zaczął się w roku 1954, kiedy pod wodzą dyrektor Olgi Kurzejowej MOK inaugurował swą działalność w skromnym budynku przy ulicy Gęsiej. Później zmieniali się szefowie – dowodzenie przejmowali kolejno Halina Świerczek, Grzegorz Kolet, wreszcie Grażyna Praszelić-Kocjan – zmieniła się również siedziba. Obecnie Miejski Ośrodek Kultury

to oddany do użytku we wczesnych latach 80. nowoczesny budynek z wszechstronnie wyposażoną salą widowiskową, ale także Centrum Kultury, miejsce licznych wystaw sztuki oraz co bardziej kameralnych przedstawień czy koncertów; również Muzeum Afrykanistyczne im. Bogdana Szczygła. Od z górą dwudziestu lat sala głównego budynku pełni też rolę jedynej w Olkuszu profesjonalnego kina.

Na przyjęciu urodzinowym nie zabrakło chyba żadnej z ważnych osobistości nie tylko ziemi olkuskiej. Na widowni spotkać można było samorządowców: władze miejskie reprezentował burmistrz Dariusz Rzepka, powiatowe – starosta Barbara Rzońca, państwowe – poseł Lidia Gądek; był także obecny Marszałek Województwa Małopolskiego Marek Sowa odwiedzający tego dnia Olkusz. Nie zabrakło zasłużonych dla Olkusza twórców i animatorów kultury, przedstawicieli duchowieństwa, a także wspierających działalność kulturalną przedsiębiorców.

Jubileuszowe występy rozpoczęły się już w holu budynku MOK, gdzie swoisty happening urządzili członkowie grupy teatralnej „Glutaminian Soda”. Wśród surrealistycznej



scenografii artyści, przebrani w równie niezwykle kostiumy i maski, wykonywali rodzaj pantomimy czy improwizowanego tańca. Dwoje mimów poruszało się przy tym na szcudłach.

Jubileuszowy koncert zaczął się od staropolskiego poloneza w wykonaniu Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Olkuskiej pod kierunkiem Beaty Nowak. Gdy tancerze w szlacheckich strojach opuścili scenę, chwilę piosenki poetyckiej przyniósł występ zespołu złożonego z pracowników MOK (głównie instruktorów muzycznych). Po nich w świetle reflektorów stanęli Agnieszka Grabowska i Maciej Nabałek – na co dzień instruktorzy teatralni i reżyserzy, którzy tym razem poprowadzili konferansjerkę. Pojawili się jeszcze kilkakrotnie, a swe zapowiedzi inkrustowali cytatami z klasyków literatury.

Przyszła kolej na uhonorowanie tych, którzy przez lata współtworzyli olkuski ośrodek kultury. Marszałek Małopolski Marek Sowa uhonorował dyrektora Grażynę Praszelek-Kocjan odznaką „Zasłużony Dla Kultury Polskiej”, którą Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego nadaje osobom wyróżniającym się w tworzeniu, upowszechnianiu i ochronie kultury. List gratulacyjny wręczył szefowej MOK Burmistrz Dariusz Rzepka, który także przekazał na jej ręce kosz kwiatów „dla wszystkich współtworzących olkuską kulturę w MDK”. Medale „Polonia Minor”, przyznawane za szczególne zasługi w działalności na rzecz Małopolski, z rąk Marszałka Województwa Małopolskiego otrzymali: instruktor sekcji teatralnej Stanisław Szarek, kierownik działu organizacji imprez Zdzisław Gardęła i instruktor sekcji wokalnej Wiesław Baran. Cała trójka otrzymała następnie z rąk burmistrza przyznane przez niego nagrody.

W formie prezentacji multimedialnej przedstawiono historię MOK-u. Pokazano ważne wydarzenia, jak otwarcie nowego budynku czy występy gwiazd. Nie zabrakło także obrazów codzienności – pracy działających w ośrodku sekcji; spotkań, koncertów, spektakli i wernisaży artystów działających w Domu Kultury. Wspominano zasłużonych pracowników, również tych, których już wśród nas nie ma – jak Janusz Gardęła czy Tomasz Wąs.

Z kolei władanie nad sceną przejęli weterani olkuskiej estrady, czyli grupa „Olkuszanie”. Powstali w „szalonych latach big-beatu”, później przez wiele lat mieli – jako zespół – przerwę w artystycznym życiu, by w początkach nowego stulecia reaktywować się. Od tego czasu zagrali wiele koncertów, znów – jak niegdyś – entuzjastycznie przyjmowanych przez olkuską publiczność. Tym razem wykonali dwa standardy, w tym słynne „What a Wonderful World”. Po nich na

estradę weszły podopieczne Wiesława Barana. Najpierw z akompaniamentem instruktora zaśpiewał chór starszych pań, czyli Los Senioritas. Potem jedna z wokalistek młodszego pokolenia wspólnie z seniorkami wykonała utwór z repertuaru Urszuli Sipińskiej. Michał Mączka, opiekun sekcji instrumentalnej, zaprezentował dwie swoje wychowanki – gitarzystki i wokalistki zarazem, które zagrały i zaśpiewały w duecie. Raz jeszcze tego wieczoru zatańczył Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Olkuskiej.

Recytatorami i zespołami teatralnymi w MOK od wielu lat opiekuje się Stanisław Szarek. Spektakl w jej reżyserii – „Szelmstwa lisa Witalisa” wg bajki Jana Brzechwy – przedstawili z dużym talentem młodzi aktorzy sekcji teatralnej. Później scena znów należała do tancerzy. Młodzież ze Szkoły Tańca „Wena” pod kierunkiem Rafała Lebiesta zaprezentowała się w tańcu przy nowoczesnych rytmach. Z kolei najmłodsze tancerki ze szkoły baletowej Piotra Korpusika zatańczyły do nieśmiertelnych taktów Piotra Czajkowskiego.

Pięknym akcentem było zaproszenie przez dyrektorke na scenę wszystkich, dawnych i obecnych, pracowników MOK „do pamiątkowego zdjęcia”. Na zakończenie jeszcze raz pojawił się zespół „Instruktorski”, by zaśpiewać „Dni, których nie znamy” Marka Grechuty. I jeszcze przemówiła poseł Lidia Gądek, gratulując dyrekcji i całej „załodze” MOK pięknego jubileuszu.

Na tym skończył się koncert, lecz nie uroczystość. Był jeszcze walc, do którego w foyer poprosił odważnych Rafał Lebiest. Był serwowany w hallu pyszny tort urodzinowy, którego konsumpcję zilustrowała jeszcze jednym krótkim występem grupa Glutaminian Sodiu. I były występy młodych wokalistek z sekcji Wiesława Barana we foyer – kto nie posłuchał, niech żałuje! ■

Tekst i zdjęcia: Jarosław Nowosad



Widok z okna Krystyny Dziurzyńskiej

„Widok z okna” – taki tytuł nosi czwarty, najnowszy tomik wierszy olkuskiej poetki Krystyny Dziurzyńskiej. Autorka promowała książkę na spotkaniu z czytelnikami w kawiarni Miejskiego Domu Kultury 29 października 2014 roku.



Pierwotnie w wieczorze autorskim miał wziąć udział krytyk literacki Bogdan Dworak z Zawiercia, jednak nie pozwolił mu na to stan zdrowia. W zamian odczytano list – Dworak entuzjastycznie wypowiadał się w nim o twórczości Krystyny Dziurzyńskiej, którą poznał w latach osiemdziesiątych podczas jakichś warsztatów literackich. Jak można było dowiedzieć się od poetki, innym jej nauczycielem był Jerzy Harasymowicz, w którego zajęciach warsztatowych również uczestniczyła.

Podczas spotkania – zapowiedzianego przez dyrektorkę MOK Grażynę Praszelik-Kocjan, a prowadzonego przez dr. Marka Pieniżka, opiekuna Klubu Literackiego przy MOK-u – można było posłuchać kilkunastu wierszy z nowego tomu. Zgodnie z tytułem, najczęściej są to utwory inspirowane zdarzeniami rozgrywającymi się tuż obok nas, na wyciągnięcie ręki. Codzienne problemy ubogich sąsiadów chwytających się dorywczej pracy „na czarno”, prze-

moc domowa tuż za ścianą, a także własne problemy, zmaganie się z samotnością, wreszcie refleksje metafizyczne i prywatne rozmowy z Bogiem. W tomie znalazł się także cały cykl utworów z niegdyśszych wojaży autorki po świecie. Piszącemu te słowa najbardziej przekonujące wydają się – bez względu na tematykę – lapidarne białe wiersze, zbliżone nieco do twórczości inaystów.

Podczas spotkania wystąpiły Los Senioritas – zespół wokalny Uniwersytetu Trzeciego Wieku, działający pod kierunkiem instruktora i pianisty Wiesława Barana, który wraz ze skrzypkiem Michałem Mączką zapewnił akompaniament. Usłyszeliśmy m.in. piosenkę skomponowaną przez Piotra Dudka, instruktora muzycznego z Klubu „Przyjaźń”, do tekstu Krystyny Dziurzyńskiej – dowód, że i taka twórczość nie jest poetce obca.

Wśród zgromadzonych na widowni miłośników literatury widziałem przedstawicieli olkuskiego środowiska artystycznego, m.in. Annę Piątek, Irenę Włodarczyk, Jacka Majcherkiewicza. Po wieczorze autorskim można było kupić egzemplarz „Widoku z okna”, oczywiście z dedykacją Krystyny Dziurzyńskiej. ■

Tekst: Jarosław Nowosad



PRZESTRZEŃ OPERY

13 października w gmachu Muzeum Narodowego w Krakowie odbyła się wystawa zatytułowana „Przestrzeń opery. Polscy scenografowie XX i XXI wieku”. Wśród wystawianych prac znalazła się także realizacja Alicji Duzel-Bilińskiej i Grzegorza Bilińskiego opery pierwszej światowej opery

televizyjnej: „Oskar z Alwy” na motywach poematu Georga Byrona (unikatowy projekt i autorska realizacja scenografii, prapremiera polska 1988 r., pokazy w Salzburgu i w Massachusetts). Organizatorami wystawy są Muzeum Narodowe w Krakowie i Opera Krakowska.

RATOŃ PO RAZ DZIESIĄTY.



WOJCIECH ROSZKOWSKI Z TYKOCINA ZAJĄŁ PIERWSZE MIEJSCE W DZIESIĄTYM, JUBILEUSZOWYM OGÓLNOPOLSKIM KONKURSIE POETYCKIM IM. KAZIMIERZA RATONIA. DRUGĄ NAGRODĘ ZDOBYŁ RADOŚLAW WIŚNIEWSKI Z KIEŁCZOWA. LAUREATKĄ TRZECIEJ NAGRODY JEST KARINA STEMPEL Z WOLBROMIA. TO PIERWSZA NAGRODZONA AUTORKA Z POWIATU OLSKUSKIEGO W DOTYCHCZASOWEJ HISTORII KONKURSU.

Rozstrzygnięcie X edycji Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Kazimierza Ratonia odbyło się w sobotę 8 listopada 2014 roku. Miejscem imprezy była, jak zawsze, Galeria Sztuki Współczesnej BWA w Olskuszu. Imprezę prowadził Olgerd Dziechciarz, olskuski poeta, prozaik i dziennikarz, pracownik BWA.

Postać patrona konkursu, Kazimierza Ratonia, przybliżyli uczestnikom Bogdan Dworak (literat i krytyk z Zawiercia, który znał poetę w czasach, gdy obaj mieszkali w Warszawie) oraz Magdalena Boczkowska (literaturoznawca, pierwszy i jak dotychczas jedyny biograf poety).

Na X Konkurs im. Ratonia zestawy wierszy przysłało – w porównaniu z zeszłymi latami – mniej, bo tylko 64 poetów. Jak przełoży-

KAZIMIERZ RATOŃ

(1942-1983), autor tomików „Pieśni północne” i „Gdziekolwiek pójdę”, laureat nagrody Roberta Gravesa, przyznawanej przez polski PEN Club, pochodził z Sosnowca. Wyrzucony z pracy w tamtejszej bibliotece, wyjechał do Warszawy. Tam jednak bez poparcia ówczesnych władz nie mógł się zameldować, co zamknęło mu drogę do znalezienia jakiegokolwiek legalnej pracy. W rezultacie stał się praktycznie kłoszardem, pomieszkującym w najgorszych ruderach, co nie mogło nie odbić się na zdrowiu człowieka z wrodzoną gruźlicą. Do tego doszedł później alkoholizm, dopełniając spustoszenia. W końcu poeta zaczął być doceniany, lecz było już za późno. Zmarł w Warszawie na początku 1983 roku. Potem jeszcze odrzuciły go władze rodzinnego Sosnowca, nie zgadzając się na organizację konkursu literackiego jego imienia. Jednakże w pierwszej dekadzie nowego stulecia konkurs taki zorganizowano w Olskuszu z inicjatywy grupy olskuskich poetów. Między innymi dzięki tej imprezie Olskusz liczy się dziś na literackiej mapie Polski.

ło się to na tzw. średni poziom, wiedzą tylko jurorzy. Sądząc jednak po nagrodzonych wierszach, dobrzy autorzy nie stracili zainteresowania konkursem.

Tegorocznemu jury przewodniczyła **Magdalena Rabinowicz-Birek**, redaktor naczelna kwartalnika „Fraza”. Obok niej, w komisji konkursowej zasiedli dwaj znakomici poeci. **Jacek Podsiadło** to autor dobrze znany miłośnikom współczesnej literatury. Debiutował w latach osiemdziesiątych w tzw. drugim obiegu; po 1989 roku zdobył uznanie krytyki (m.in. trzykrotnie nominowano go do nagrody Nike) i czytającej publiczności. Oprócz poezji, zajmuje się dziennikarstwem (np. przez kilka lat był stałym felietonistą w „Tygodniku Powszechnym”).

Krzysztof Śliwka jest poetą i autorem scenariuszy filmowych (nagroda za najlepszy scenariusz na



Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Grimstad). Redaguje internetowy magazyn kulturalny „Helikopter”. Jego wiersze tłumaczono m.in. na język niemiecki, węgierski i słowacki.

Werdykt jury był następujący: I miejsce otrzymał **Wojciech Roszkowski** (Tykocin), II miejsce – **Radosław Wiśniewski** (Kielczów), III miejsce – **Karina Stempel** (Wolbrom). Wyróżnienia: **Dorota Grzesiak** (Bytom Odrzański), **Dominik Sobol** (Terespol), **Łucja Dudzińska** (Poznań). Podobnie jak w zeszłych latach, jurorzy wskazali także autorów nominowanych, których wiersze zwróciły uwagę jury, ale nie zmieściły się w puli nagród i wyróżnień. Są to: **Ela Galoch** (Turku), **Katarzyna Zychła** (Sieniawa – Żarska), **Dorota Ryst** (Warszawa), **Robert Feszak** (Bielsko-Biała), **Czesław Markiewicz** (Zielona Góra).

Tradycją konkursu jest, że Galeria BWA wspólnie z kwartalnikiem „Fraza” wydają tomik wierszy laureata pierwszej nagrody. Z tym wiąże się zaś kolejny zwyczaj: stałym punktem programu rozstrzygnięcia konkursu jest promocja książki zeszłorocznego zwycięzcy. W poprzedniej edycji pierwsze miejsce zajął Bartosz Kontrat i to jego zbiorek poezji, zatytułowany „Dzika kość. Encyklopedia utraconych szans” był tym razem promowany. Ponieważ autor nie mógł być obecny, kilka wierszy z tomu odczytał jego redaktor Marek K. E. Baczewski.

Po części oficjalnej akcja przeniosła się na piętro Galerii. Tam przy łyku herbaty (i nie tylko) do późnego wieczora trwały dyskusje o literaturze (i nie tylko). Bogdan Dworak, jak zawsze, sypał anegdotami o znanych pisarzach i innych artystach (a znał ich wielu, m.in. Jana Himmilbacha). Jacek Podsiadło natomiast wdał się w spór o wegetarianizm z Łukaszem Jaroszem.

Organizatorzy serdecznie dziękują mecenasom i sponsorom (m.in. Starostwu Powiatowemu i Urzędowi Miejskiemu w Olkuszu, Stowarzyszeniu „Fraza”, wydawnictwu OFICYNA 21, firmie cateringowej Sokół).

Próbki twórczości autorów nagrodzonych i wyróżnionych w X edycji konkursu prezentujemy poniżej. ■

Tekst i zdjęcia: Jarosław Nowosad



I MIEJSCE: WOJCIECH ROSZKOWSKI (TYKOCIN) DZIECI I RÓŻE

Karmię pustką serce małego chłopca. Bije szybko, pompuje ziarenka piasku w górę klepsydry, w tamtym pokoju z widokiem na ogród i wieżę kościoła, zimowy wieczór na wsi, kolejny z mojego dzieciństwa, które trwa jeszcze, dni składają się w kołyski śpiących niemowląt, róża jest różą, jest różą. A ciełe ma wzrok jak mój ranny pies pośrodku szosy. Patrzyłem skulony na poboczu, a koła w obie strony toczyły się, toczyły bez końca.

II MIEJSCE: RADOSŁAW WIŚNIEWSKI (KIEŁCZÓW) SEN 13544 ALBO ROZWODU ZWIASTOWANIE

Ona pali! Ona pali papierosa!
Ona pali papierosa w moim pokoju!
Ona, która nie paliła a wszystkich wywalą do kuchni bez pardonu a potem nawet z kuchni na korytarz a teraz śmie w tej sukience, czerwonej, krwawej szmince kopcić „Marlboro”?! I żeby to jeszcze się zaciągała, ale nie, po prostu kopci, nabiera do ust i wypuszcza tłusty dym w pokój. Wynocha mówię, pokazuję drzwi i sam wychodzę w miasto. Na rogu Długiej i Mlecznej nie ma kamienicy. Zaraz będą wyburzać – mówi ktoś z boku – dlatego tak ściskają mury rusztowaniami, żeby sypało się do środka. Widać bez ofiar się nie obejdzie.



III MIEJSCE:
KARINA STEMPEL (WOLBROM)
A TERAZ TYLKO

We śnie życie to zapalki
Ułożone równo na stole
Połykam ogień
Ze wszystkich wspomnień pozostały te
Co rozpałały ciało

Bo to niesprawiedliwe
Że młodzi tak cieszą się życiem
Mówi pacjent na wózku
Czterdzieści lat dotykałem nieba
Dziesięć tysięcy godzin wylatanych MiG-iem

A teraz tylko ta wnuczka
Która nie przychodzi

WYRÓŻNIENIE:
DOROTA GRZESIAK (BYTOM ODRZAŃSKI)
MODLITWA

Odmienię ten wiersz we wszystkich językach:
jest we mnie tyle nocy, każda ma inne piersi;
możesz patrzeć na mnie, kiedy się rozbieram,
ale nie patrz, gdy śpiewam. Więc tamten złoty
chłopiec to był tylko żart?

To nie żart, lecz prorocstwo. Będziesz pieścić syna,
będziesz mieć dłonie tak duże, że skryją jego stopę.

Woda, jak płótno, owija moje ciało.

Proszę już tylko o jedno:
oddal ode mnie głosy,
chcę mieć dom z drewna pełen miękkich
kotów; chcę, by nie było we mnie
nic poza twoim dotykiem

WYRÓŻNIENIE:
DOMINIK SOBOLEW (TERESPOL)
GRISZA

nagle pozamiatanym życiorysom
zapalił się i zgasł bez zbędnego szumu
wokół siebie, do drugiego roku życia widział.
później natura zabrała mu tę umiejętność dając
w zamian piękny śpiew i jeszcze lepszą
znajomość gry na harmonijce. chodził na spacer, wycieczki,
pomagał rodzicom na ile mógł, muzyką umiłał wieczory
spracowanym chłopcom i pannom na wydaniu.
pewnego dnia po powrocie z ogrodu
powiedział starej matce *umrę jutro*
jedną ptaszka na drzewie
zaśpiewał mi dobry Jezu.

nazajutrz na werandę domu Grisy
zleciała się cała ferajna podniebnych
harcowników aby oznajmić dobrą
nowinę o odwiecznym losie gwiazd
gasnących jedna po drugiej bez wyraźnej
kolejności czy sensu.

spytany kiedyś o życie odpowiedział:
jutro może być pozamiatane dlatego
rób dzisiaj co masz robić jutro i nie narzekaj
bo jutro może być pozamiatane.

WYRÓŻNIENIE:
ŁUCJA DUDZIŃSKA (POZNAŃ)
OD DZIECKA. KLUCZ

Przywiązane do szyi dzieciństwo. Bajki na żądanie.
Oswajanie wiedzy na dobranoc, w stylu: *powiedz mi*
mamo, powiedz mi tato! Nauka wzajemności: *Jak*
ty mi, tak ja tobie. Poskramianie zaufania, w stylu:
i tak ci nie uwierzę. Później dylemat: *gdzie szukać*
bohaterów? A może szukać romantyzmu?
Pierwsze piwo i papieros. Zapatrzenie – na rurze
wygina się ciało bez twarzy, bez wyrazu.
Nie zachwyca, nie zniechęca. Jest. Była. Bez klucza.

Dzieciństwo, które udaje się zapamiętać, różni się
od prawdziwego. Taki sobie stan. Punkt widzenia
nadąża za punktem odniesienia. Świat przedstawiony
to kolorowa bańka, pęka w najmniej oczekiwanym
momencie. Wtedy on przypomina sobie śmiech, dom.
Będzie mistrzem blefu.



Jury



Z OLKUSZA DO AFRYKI

Z mieszkającym od 12 lat w Afryce olkuszaniec **Januszem „Jaśkiem” Zasadą** rozmawia Jacek Sypień



• Jak to się stało, że z Olkusza trafiłeś do Afryki?

- Trochę przez przypadek. W 1996 roku zdałem maturę w olkuskim „Ekonomiku”, ale niestety nie udało mi się dostać na studia. Postanowiłem wyjechać. Dorywczo pracowałem we Fran-



cji i Włoszech, a w końcu trafiłem do Anglii. Przez dwa lata mieszkałem w Londynie, gdzie miałem się różnych zajęć. Poznałem dziewczynę z RPA, która zaprosiła mnie do Kapsztadu. W międzyczasie zaproponowano mi, żebym poleciał do Kenii z ekipą, która miała tam realizować spektakl teatralny w plenerze. Miałem robić zdjęcia z planu i ogólnie pomagać we wszystkim. W marcu 2002 roku poleciałem do Afryki. Po zakończeniu tego projektu teatralnego miałem zamiar lecieć do Kapsztadu i tam zostać. Jednak postanowiłem pomieszkać jakiś czas w Kenii. Po londyńskich mgłach, deszczach i rutynie codziennej pracy, zielona Kenia była czymś niesamowitym. Poza tym się zakochałem.

• Czym się wtedy zajmowałeś?

- Najpierw chłonałem Afrykę i żyłem z oszczędności. Potem skompletowałem portfolio i chodziłem po agencjach i wydawnictwach, szukając pracy. Dostałem zlecenie, żeby wykonać serię fotografii pod dość ogólnym hasłem „Afryka z punktu widzenia białego”. Wtedy zacząłem podróżować i fotografować. Nawiązałem ciekawe kontakty wśród miejscowych, zapraszali mnie do domów i dzięki nim mogłem fotografować w dzielnicach, do których raczej nie zapuszczają się biali. Zobaczyłem oblicze Afryki, inne od tego pokazywanego w kolorowych folderach. Przez pewien czas prowadziłem zajęcia z fotografiki dla studentów Uniwersytetu Wschodniej Afryki. Pomagałem też zakonnikowi – franciszkaninowi, który zajmował się dziećmi mieszkającymi w slumsach Nairobi.

• Ale wkrótce znowu ruszyłeś w drogę?

- Poznałem założyciela polskiego biura turystycznego specjalizującego się w Afryce, który zaproponował mi pracę. Przez kilka następnych lat, od 2003 do 2007 roku, pracowałem jako przewodnik turystyczny. Ponieważ znałem już



miejscowe stosunki, łatwiej mi było załatwiać wszelkie formalności. Przy okazji odwiedziłem ciekawe zakątki Afryki. Byłem w Tanzanii, Etiopii, Kenii, Rwandzie, Kongo i Ugandzie. Kilukrotnie prowadziłem grupy na Mount Kenya, byłem na Kilimandżaro, w górach Siemen w Etiopii i w Górach Księżycowych w Ugandzie. Takie podróże w niewielkich grupach miały swój urok.

• **Jednak po kilku latach ciągłego podróżowania zrezygnowałeś. Zmęczyły cię podróże, czy chciałeś znaleźć stałe miejsce?**

- Pewnie jedno i drugie. Przez te kilka lat żyłem na walizkach w wynajmowanych pokojach lub kątem u znajomych. Kilka tygodni w podróży, potem kilka tygodni przerwy i tak w kółko. Poza tym, chyba trochę dorosłem do próby osiedlenia się w jednym miejscu. Fajnie wciąż coś nowego zaczynać, ale chciałem spróbować też coś kontynuować. Jak to ze zbiegami okoliczności bywa, pojawiła się okazja kupienia działki w Ugandzie, nad jeziorem, w kraterze wygasłego wulkanu. Potem poleciały kolejne zbiegi okoliczności. Musiałem wyjechać z Kenii, bo kończyła mi się wiza. Pojechałem do Ugandy. Wiza w Kenii skończyła mi się w dniu wyborów, które przekształciły się w paromiesięczną rzeź niewiniątek, czyli krwawe walki plemienne. Ja w tym czasie mieszkalem w Ugandzie i miałem święta Bożego Narodzenia pod namiotem nad jeziorem. Potem pojawił się człowiek zainteresowany pomysłem stwo-



wienia „raju na ziemi”. I tak przekwalifikowałem się z przewodnika turystycznego na dozorcę budowlanego. Od 2007 do ubiegłego roku nadzorowałem logistykę stworzenia „eco-lodge”, czyli ośrodka kempingowego w Ugandzie.

• **Nam, mieszkańcom Olkusza, Czarny Łąd kojarzy się z Muzeum Afrykanistycznym. Czy teraz Afryka naprawdę jest jeszcze egzotyczna, czy też stroje ludowe, maski, tańce to tylko taka „cepelia” dla turystów?**

- To zależy od regionu i miejscowych tradycji. Tam, gdzie mieszkam, rzadko się widuje tradycy-

ne stroje, ale na przykład Masajowie, Turkana, Samburu, Swahili i parę innych plemion w Kenii wciąż ubiera się w swoje kolorowe stroje. Podobnie jest w Etiopii. Jako ciekawostkę można podać, że w wielu wiejskich kościołach nie ma dzwonów i wiernych na mszę wzywają dźwięki bębnow. W tym rejonie Ugandy, gdzie mieszkam, nadal funkcjonują „miejscowe” imiona, czyli





przydomek. Kiedy rodzi się dziecko, na chrzcie otrzymuje jakieś „oficjalne” imię; John, Georg, czy Paul, ale potem, podczas rodzinnego spotkania wybiera mu się przydomek, pod którym potem jest znany.

- **Afryka kojarzy nam się też z biedą, wojnami, chorobami, jak choćby AIDS, czy wirus Ebola. Jak to wygląda od wewnątrz?**

- Na pewno poziom życia jest znacznie niższy niż w Europie. Na pewno choroby, o których mówisz, są problemem w niektórych regionach Afryki. Ale czasami odnoszę wrażenie, że niektóre zagrożenia są wyolbrzymiane przez media szukające nowości i sensacji. Z tego, co wiem, do chwili obecnej odnotowano na całym świecie niespełna 14 tys. przypadków zachorowań na gorączkę krwotoczną wywołaną wirusem Ebola. Tymczasem, tylko w 2010 roku na malarię zmarło 1,2 miliona ludzi na świecie, z czego większość w Afryce. O Eboli jest głośno w mediach, a o malarii cicho. Takim problemem Afryki, o którym mało się mówi i pisze, jest zagłada słoni, które są masowo zabijane przez kłusowników.

- **Może skończymy już z tymi chorobami. Powiedz, czym się teraz zajmujesz?**

- Jak wspominałem, od 2007 roku zajmowałem się budową kompleksu domów kempingowych,

czyli lodge, u podnóża Gór Księżycowych na południowym zachodzie Ugandy. W pobliżu kupiłem też własną działkę nad pięknym jeziorkiem w kraterze wygasłego wulkanu i wybudowałem niewielki dom. Kiedy sprowadziłem się do Ugandy zauważyłem, że równikowe lasy są wycinane, a tereny zamieniane na plantacje. Jednak, kiedy ziemia się wyjąłowi i plantacja przestaje istnieć, porasta ją bardzo ekspansywny eukaliptus, lub zamienia się w ugor. Postanowiłem na terenie otaczającym kompleks domów kempingowych, a także na swojej działce odtworzyć tropikalny, równikowy las. Podjąłem współpracę z miejscowymi uczelniami i rezerwatami przyrody. W ciągu kilku lat posadziłem kilkadziesiąt tysięcy drzew. Starłem się sprowadzać gatunki zagrożone wyginięciem. Wiele z nich nie jest do końca zbadanych, a mają ciekawe właściwości lecznicze, jak choćby moringa zwana drzewem cudów. Staram się też przekonywać sąsiadów, żeby sadzili miejscowe gatunki drzew na swoich nieuprawianych polach. Poza tym wybudowałem drugi, niewielki dom, który wynajmuję turystom wędrującym po Afryce. Sam przez wiele lat mieszkiałem kątem u znajomych, a często u obcych ludzi. Dlatego teraz sam prowadzę otwarty dom, do którego serdecznie zapraszam.

- **Dziękuję za rozmowę. ■**

Zdjęcia: Janusz Zasada

Jeśli ktoś chce się skontaktować z Januszem „Jaśkiem” Zasadą, podajemy maila: poleoko77@gmail.com lub kontakt przez fb, nick „Ja Zasada”



CIEŚLIN W BWA

POKŁOSIE
**III MIĘDZYNARODOWEGO
 PLENERU MALARSKIEGO
 IM. KS. MARCINA DUBIELA
 „CIEŚLIN 2014”**

MOŻNA OBEJRZEĆ NA
 PIĘTRZE OLKUSKIEJ GALERII
 SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ BWA.
 POPLENEROWĄ EKSPOZYCJĘ
 UROCZYŚCIE OTWARTE
 W PIĄTKOWE POPOŁUDNIE
 21 LISTOPADA 2014 ROKU.



CIEŚLIN 2014

Plener „Cieślin 2014” odbywał się w dniach 4-10 sierpnia 2014 w Ośrodku Edukacyjno-Naukowym Zespołu Parków Krajobrazowych Województwa Śląskiego w Smoleniu. Pod kierunkiem mieszkającego w Cieślinie plastyka Mariusza Połęcia, od dwóch lat komisarza pleneru, i logistyczną opieką przedstawicielki ZPK Barbary Mastaj, kilkunastu artystów pracowało nad dziełami sztuki. Ale nie było to jedyne, czym się zajmowali.

W organizację tegorocznej edycji pleneru po raz pierwszy zaangażowało się Stowarzyszenie Na Rzecz Zrównoważonego Rozwoju Społeczno-Gospodarczego „Klucz” z Kolbarku. Wspólnie z artystami stowarzyszenie realizowało część projektu „Aktywizacja poprzez sztukę”. W jego ramach uczestnicy pleneru prowadzili warsztaty plastyczne dla grupy dziesięciorga niepełnosprawnych artystów z powiatu olkuskiego, chrzanowskiego i proszowickiego. Uczyniło to z pleneru przedsięwzięcie integracyjne.

Ogółem w plenerze udział wzięli: Mariusz Połęcz (komisarz), Alicja Jakubas, Stanisław Jakubas, Weronika Kachel, Beata Kolba, Witold Kubicha, Michał Kwarciak, Józef Marzec, Paweł Olchawa, Marta Owsik, Samvel Paremuzyan, Paulina Szymczyk, Alicja Wysocka, Piotr Zatorski. Ponadto w warsztatach uczestniczyli: Aleksandra Czyl, Agnieszka Hałat, Monika Kołakowska, Mariusz Mędrak, Robert Tarus, Karolina Wiecha, Agnieszka Wroblewska, Anna Zakrzewska, Danuta Żak.

Wystawę na piętrze Galerii BWA otworzył Mariusz Połęcz wraz z prezesem Stowarzyszenia „Klucz” Wiesławem Pietrasem. Na wernisażu obecni byli praktycznie wszyscy uczestnicy pleneru, z wyjątkiem przebywającej

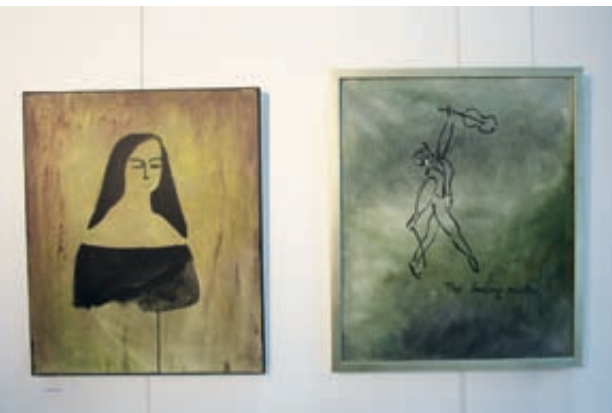


cd. str. 26 »



wówczas za granicą Alicji Wysockiej. Wśród publiczności można było dostrzec przedstawicieli lokalnych środowisk artystycznych oraz organizacji pozarządowych.

Plenery plastyczne, a więc spotkania artystów w danym miejscu i charakterystycznym dla niego krajobrazie, zawsze są spotkaniami różnych wizji świata i rozmaitych technik twórczych. Pokłosie takich imprez uświadamia nam, jak odmiennie poszczególne osoby mogą postrzegać tę samą przestrzeń, te same widoki. Na przykład Stanisław Jakubas, Weronika Kachel, Paweł Olchawa czy Beata



Kolba, kreatywnie przekształcając otaczającą ich rzeczywistość, namalowali pejzaże rodem z innych światów. W nieco podobnych rejonach usytuowała się Alicja Jakubas, ze swą fantazyjnie udrapowaną tkaniną dekoracyjną, przywodzącą na myśl widok zaoranych pól oglądanych z dużej wysokości. Drogą zupełnego abstrakcjonizmu podążyła Paulina Szymczyk, autorka stylizowanych pejzaży, chmur

czy map. Stylistykę impresjonistyczną twórczo rozwijają – każdy na swój sposób – Józef Marzec, Piotr Zatorski, Mariusz Połeć, Witold Kubicha. Ze skarbnicy abstrakcjonizmu zaczętną inspirację Michał Kwarciak, ponieważ też Alicja Wysocka. Okiem surrealisty przyjrzała się zabytkowym zabudowaniom Samvel Paremuzyan; mniejszy fragment krajobrazu ukazała przez cokolwiek magiczne „Okno” Maria Owsik.

Na wystawie zaprezentowano również prace niepełnosprawnych artystów uczestniczących w warsztatach. Także i oni zastosowali różnorodne techniki, których nauczyli



się od bardziej doświadczonych kolegów, nieraz uzyskując zaskakująco ciekawe rezultaty.

Zaprezentowano krótki dokument filmowy o przebiegu pleneru, po czym zaproszono publiczność na dół, do głównej sali wystawowej. Tam pokazano drugą część filmu, dokumentującą przebieg warsztatów „Aktywizacja poprzez sztukę”. Potem krótkie recitale wokalne dali: olkuszanie Piotr Skrzynecki oraz gość zza wschodniej granicy – Alisa Koszkińska.

Na zakończenie odbyła się aukcja kilku prac powstałych w czasie pleneru, poprowadzona przez Piotra Skrzyneckiego. Dochód z licytacji pomoże zorganizować kolejne warsztaty dla osób niepełnosprawnych. Ogółem kupiono 12 prac; najwyższa cena wylicytowana za obraz wyniosła 950 zł. ■

Tekst: Jarosław Nowosad

Zdjęcia: Olgierd Dziechciarz, Jarosław Nowosad



PODWÓJNY WERNISAŻ

Najpierw, o godzinie 18.00, dyrektor Stanisław Stach dokonał uroczystego otwarcia wystawy obrazów dwojga artystów, dla których głównym źródłem inspiracji jest krajobraz okolic Kazimierza Dolnego, w którego sąsiedztwie zamieszkują. Marta Andała ukończyła Wydział Artystyczny lubelskiego UMCS. Jej obrazy, które zajęły połowę sali wystawowej BWA, mają wiele z realizmu magicznego, surrealizmu, baśniowości. Niektóre przywołują nastrój dzieł Chagalla – nie przez dosłowne podobieństwo, lecz równą niezwykłość. Czę-



OLKUSKA GALERIA SZTUKI
WSPÓŁCZESNEJ BWA BYŁA
JEDNEGO DNIA MIEJSCEM
DWÓCH WERNISAŻY.
WIECZOREM 10 PAŹDZIERNIKA
2014 ROKU OTWARTO TAM
WYSTAWĘ MALARSTWA
MARKA I MARTY ANDAŁÓW
ORAZ EKSPOZYCJĘ
POPLENEROWĄ
„LIPOVCI 2013”.

stym motywem są nagromadzone na niewielkiej przestrzeni „góry” z maleńkich domków, podobnych do zabawek, niedbale ułożonych klocków. Innym stale występującym elementem, nieledwie obsesją, są nienaturalnie olbrzymie pasiaste koty, najczęściej wylegające się na wąskich uliczkach pomiędzy budynkami. To oraz celowe rozmycie konturów tworzy atmosferę snu lub halucynacji.

Nieco bardziej realistyczne są zajmujące przeciwległą ścianę galerii płótna Marka Andały. Pozbawione elementów onirycznych, mają jednak pewne cechy impresjonizmu. Ukazują zazwyczaj fragmenty starej zabudowy, urokliwe uliczki biegnące wśród stylowych kamienic. Inne przedstawiają wiejskie domy – tradycyjne zabudowania lub ich wnętrza (jeden z obrazów portretuje kuchnię żywcem wziętą z przełomu stuleci XIX i XX). Można odczytać to malarstwo jako wyraz swoistej nostalgii za czasami, których już prawie nikt spośród nas nie pamięta z autopsji; które można jedynie próbować odnaleźć w pisarstwie np. Brunona Schulza.

Wernisażowi towarzyszył krótki recital Pauliny Stach. Wokalistka przedstawiła kilka standardów muzyki popularnej, m.in. „Moon River”.

Zaraz po pierwszym wernisażu otwarto na piętrze Galerii przy ul. Szpitalnej wystawę prezentującą pokłosie pleneru artystycznego, który odbył się w Słowenii. Dyrektor Stach nazwał tę wystawę „bardzo poplenerową”, gdyż pokazane na niej prace powstały w ubiegłym roku. XXI Międzynarodowy Plener Malarski „Lipovci 2013”, oprócz miejscowych plastyków, przyciągnął kilkoro artystów zagranicznych z Niemiec, Bośni i Hercegowiny, a także z Polski. Nasz kraj reprezentował w Słowenii olkuszanie Stanisław Stach we własnej osobie.

Jak zawsze w przypadku takich przedsięwzięć, mamy do czynienia z wielością technik malarskich i – szerzej – sposobów widzenia świata.



cd. str. 28 »



Na przykład Marija Novaković, najmłodsza uczestniczka pleneru, zaproponowała oryginalną technikę „szkiców na płótnie”. Barbara Kastelec swe fantazje na tematy roślinne wpisała w kolisty „kadr”, jak gdyby był to widok przez mikroskop czy lunetę. Marija Rus w pastelowym pejzażu skonstruowała geometryczne kontury pól z nieostrością płynących nad nimi obłoków. Dyptyk Joanny Zajac-Słapniçar portretuje przystojnię odrealniającą mgiełką postaci dziewcząt, prawdopodobnie tancerek... Nie mniej oryginalnie prezentuje się „Pole makowe” i widok zabytkowego kościoła pędzla Stanisława Stacha, artyści konsekwentnie ostatnio rozwijającego technikę malowania architektury nawiązującą do swoistej mozaiki. Tutaj połączył ją z elementami swojego wcześniejszego malarstwa, poprzez wprowadzenie celowo uproszczonych, zgeometryzowanych sylwetek drzew.

Jak zwykle ostatnimi czasy, olkusczy miłośnicy sztuki dopisali, zjawiając się dość licznie. Kto był wśród nich, zapewne się nie rozczarował. Obie ekspozycje były zdecydowanie warte obejrzenia. ■

Tekst: Jarosław Nowosad
Zdjęcia: Olgerd Dziechciarz



prof. ASP Grzegorz Biliński

Pracownia Archisfery
Katedra Obszarów Sztuki
Wydział Intermediów
Akademia Sztuk Pięknych
im. Jana Matejki w Krakowie

PUSTYNIA 2014

Geometria!, geometria?

Od kilku lat Pracownia Archisfery prowadzi konsekwentnie letnie plenery w przestrzeni pustki piaskowej. Zwykle odbywały się one na dużym wyrobisku piaskowym na pograniczu Śląska i Małopolski. W tym roku jednak był to ostatni plener na tym terenie. Właściciel wyrobiska, Nadleśnictwo Chrzanów, z powodu przekazania do zamierzonego od paru lat zalesiania tego terenu, musiało wypowiedzieć nam możliwość dalszej eksploracji artystycznej wyrobiska w następnych latach.



Tak więc tegoroczne, lipcowe spotkania pustynne z drugim rokiem studentów Wydziału Intermediów, było jednocześnie pożegnaniem z tym uroczym miejscem. Za parę lat będzie ono żyjącym swoim życiem, bujnym lasem. Po pustyni zostaną jedynie wspomnienia i zdjęcia z naszych plenerów.

Tymczasem Nadleśnictwo wyznaczyło nam niewielki teren do działań, po wschodniej stronie drogi.

W tym roku również plener miał wyjątkowo kameralny charakter i nie zdecydował o tym tylko niewielki obszar działań, ale również ilość uczestników. Drugi rok studiów



na WI miał wyjątkowo nieliczną obsadę. Studiowało na nim zaledwie czworo studentów: Jagna Firek, Amadeusz Ferduła, Jacek Piotrowicz, Jakub Nowara. I to grono pojawiło się na pustyni.

W tym roku tematem działań artystycznych stała się geometria.

Skoro tak, to zacznijmy od wyjaśnienia tego magicznego i nienawidzonego przez niektórych słowa.

Geometria. Opis Świata, Kod świata. Niektórzy Filozofowie i Uczeni twierdzą, że bez niej nie jesteśmy w stanie stwierdzić, czy świat ma Ciało. W konsekwencji, czy ma materię, czyli, czy jest. Niektórzy twierdzą, że była przed Stworzeniem albo wręcz jest Stworzeniem Świata.

Od wieków, a nawet od początku istnienia myślenia, ten problem jawił się jako Istotny. Na początku była Geometria Euklidesowa, kodująca Świat poprzez opis płaski (co nie oznacza, że bez świadomości przestrzeni trójwymiarowej), później myśl Kartezjańska, czyniąca z trzeciego wymiaru atrybut rozumienia, a następnie pojawił się czynnik czasu, by obecnie, w generatywności, poszukiwaniu opisu natury

Praca o niemal idealnie odpowiadającym klasycznym założeniom i odwołująca się też do archetypu poszukiwań, to piramida Amadusza Ferduły. Pozornie banalne powtórzenie gestu sprzed kilku tysięcy lat. Figura idealna. Forma historyczna o kształcie otwartym nadanym przez Amadeusza. Ściany pokryte lustrzaną folią, która odbijając Świat, pozbawia nas pewności formy, jej idealnych odniesień.

AUTOR PISZE:

„Ściana zawsze odbija niebo, czyli niezależnie od pogody znacząco wpływała na wygląd otoczenia.”

Zabieg ten jednak wprowadził, w przeciwieństwie do archetypu, enigmatyczność, niepewność.

Ta nowa relacja nie jest już tak wobec Świata autorytatywna. Może nawet być pytaniem o iluzję, ale i pytaniem o wszechobecność. Piramida, zbudowana na piaszkowym grzbiecie, zawładnęła nim całkowicie. Autor nie tylko nie poprzestał na tym jednym przedmiocie, ale stworzył drugi, ciekawy i efemeryczny. Wykopał, będący w kompozycyjnej zależności z piramidą, dół, negatyw piramidy, dziobem



i następstwa, odnaleźć lub próbować odnaleźć kod czasu i natury. Wiem, że nie wiem, jak to jest ostatecznie, oprócz tego, że zagadnienie jest ciekawe i wciągające intelekt i intuicję kreatywną.

Nie jest moim celem wykład o Geometrii. Zamiarem jest jednak przybliżenie problematyki, w którą „wciągałem” studentów, w ramach naszych refleksji pustynnych.

Tak więc Geometria jako Opis Świata stała się podstawą rozważań.

Skupmy się jednak na samych pracach. Na czterech, powstałych w ciągu kilku dni zdarzeniach artystycznych.

skierowany do Środka Ziemi i utopił w nim Odwróconą Piramidę. Instalacja i swoisty performans zarazem. Gest. Całość kompozycji dopełniło trwanie. Noc. Pasy Światta, energia przedmiotu, wydobywające się z piramidy dopełniają rozważania o Geometrii archetypu. Kolejne zdarzenie w bogatych losach figury doskonałej Ostrosłupa, zwanej potocznie Piramidą.

To praca klarowna, niemal minimalistyczna. Odnosi się i kontrastuje dwa światy geometrii: sztuczną, kulturową piramidę, wobec natury piaszkowych pagórków „pustyni”, w których poszukuje geometrii ukrytej,





idealnej piramidy odwróconej, nie Od ale Do. Kontrast budujący kompozycję.

Zgoła inne podejście reprezenował Jacek Piotrowicz ze swoim latawcem. Znowu mamy proste odniesienie do prostej geometrii. Autor jednak ingeruje istotnie w Środowisko, a co najważniejsze – zderza kulturę z naturą. Pisze tak o swojej pracy:

„Jest to projekt latawca oraz welonu wykonanego z jedwabiu spadochronowego, którego pozyskanie jest bardzo istotne. Jest to formuła ingerencji sztucznej formy w przestrzeń naturalną, pozbawioną innych śladów działalności inteligentnych istot”.

To specyficzne działanie w zasadzie nie pozostawia śladów. Trwają one krótko, krócej niż myśl.

I DALEJ PAN JACEK PISZE:

„Motyw ingerencji barwnego kształtu w środowisko naturalne jest czymś, co bezpośrednio mnie inspiruje. Podstawowe znaczenie przynosi welon, który jest tutaj formą kształtowaną przez siły grawitacji i aerodynamiki. Jest formą, która poddaje się, jednocześnie znakomicie ilustruje turbulencje powietrza, które według współczesnej nauki nie zostały opisane matematycznie.”

Ciekawa jest nie tylko ta forma generatywności geometrycznej w zderzeniu Światów, ale i samo zmaganie się, walka z naturą, aby to zderzenie mogło nastąpić. Wątek performerski musiał się tu pojawić. Nowa forma istnienia geometrycznego, zapis formy ruchu czy działania, staje się dla Współczesnych ważnym elementem Uświadamiania. Doświadczenie staje się ważniejsze niż sam fakt Osadzenia, czy Ucieśnienia. Latawiec poleciał na krótko, budując formę, anagążując czas... zderzając „przestrzeń”. Prawdopodobnie, gdyby udało się „odlać” w trwałym materiale przebieg jego lotu, powstałaby gigantyczna, nieregularna spirala zakończona ostrym tunelem upadku....

Zupełnie inna Geometria zainteresowała Jagnę Firek. Odniosła się ona do enigmatycznego elementu geometrii - geometrii cząstek.

Jak pisze, pustynia kojarzyła się jej zawsze z burzą piaskową. Skojarzyła więc ten fakt z dmuchawą, którą tak często możemy widzieć w rekach sprzątających liście. Nie poprzestała tylko na tym. Wytworzyła dwa zdarzenia. Jedno w pyłem piaskowym rozkurzanym dmuchawami, a drugie z dymem wytworzonym z zapalonych flar dymowych. Niestety nie wszystkie materiały dokumentacyjne dotrwały do edycji, z racji awarii jej komputera. Doświadczenie było jednak bardzo ciekawe. Odwoływało się do znanych doświadczeń z architekturą mgły, czynionych w 2002 roku na jednym ze szwajcarskich jezior.

Geometria cząstek, która w ostatnich latach stała się bardzo modna, między innymi z racji rozwoju technik 3d i generatywnych metod, dała możliwość rozważań o formach enigmatycznych, zmiennych, drobnowymiarowych i zwielokrotnionych. Próby działań artystycznych zawsze były podejmowane wobec nowych doświadczeń człowieka. Badanie intuicją artystyczną takich zjawisk jest jednym z ciekawszych nurtów współczesnej sztuki, ale i nauki. Oczywiście dla nas, artystów, zawsze najważniejsze jest doznanie, wrażenie, odczucie.

I tak doszliśmy do ostatniej pracy, wykreowanej przez Jakuba Nowarę. I tu może rzecz najciekawsza. Jakub jest muzykiem z duszy. Interesuje go też strona wizualna działań artystycznych, ale nie plastyczna (choć wcześniej skończył liceum plastyczne). Estetyka w klasycznym ujęciu nie jest mu obca, ale nie jest jego światem. Podjął się ciekawego zadania ucieleśnienia wizualnego dźwięku. Trudna próba została podjęta, owocowała interesującym zdarzeniem, choć nie skończyła się pełnym sukcesem... Jakub słuchał Pustyni, wiatru i podjął próbę pokazania dźwięku poprzez układy geometryczne z piasku, generowane na membranie głośnika. Do tego celu wybudował tubę zbierającą dźwięk wiatru, swoistą „słuchawę” (za I. Krakowiak)





KRZEMIENIĘ Z ZAŁĘŻA



i umieścić na skarpie. W drugim końcu umieścić mikrofon do zbierania dźwięku, poprzez podłączony wzmacniacz. Następnie dźwięk kierowany był do głośnika, który na membranie miał umieszczony piasek, który to stosownie do uderzeń dźwięku przypierał różne formy. Czasami mikrofon (dotykowy) wędrował do ziemi i stąd pobierane były inne dźwięki. Choć nie wszystko udało się wg zamierzeń, to trzeba przyznać, że samo doświadczenie na pograniczu zderzenia różnych mediów było dla wszystkich zaciekawieniem. Doświadczenie warte przeżycia. Szczególnie w momencie odkrywania roli Geometrii, słuchania pustyni, również tej pod stopami. Pomijam ininteresujące doznania wizualne. A dźwięk, nieustający szum, który nas otacza, jak się okazuje, ma też swój koloryt.

Tegoroczny plener, inaczej niż w latach poprzednich, nie powodował zagospodarowywania przestrzeni pustyni. Miejsce zostało potraktowane raczej jako pole doświadczeń dla różnorodnych prac i działań artystycznych. Zapewne wpłynęła na to również tak mała liczba uczestników. W tym znaczeniu została zachowana pełna kameralność zdarzeń. Skupienie to zaowocowało jednak wejściem „w głąb” zagadnień, eksplorowaniem delikatnej przestrzeni granicznej pomiędzy sztuką, doświadczeniem a intuicją badacza. Moim zdaniem dla współczesnego kandydata na artystę rzecz to bezcenna. A dla mnie kolejne doświadczenie, które wskazuje na potrzebę kontaktu i obcowania z czasem kontemplacji. Niestety, powoli, Ta Pustynia się już dla naszych działań „kończy”. W przyszłym roku musimy odkryć nowe miejsce. Mam nadzieję, że przyjmie nas ono z takim samym zaciekawieniem jak to dotychczasowe. Nasuwa mi się też i druga refleksja. Przemierzamy dziś przestrzenie z tak wielkim rozmachem. Czasem jednak okazuje się, że możemy dotrzeć do równie ciekawych miejsc, zmieniając wektor na ten w głąb, a stosując go w miejscach obok.

Tegoroczny plener, jak i poprzednie, wsparł finansowo Starosta Powiatu Olkuskiego oraz Dziekan Wydziału Intermediów. Podziękowania należą się również Nadleśnictwu Chrzanów, gospodarzowi terenu, który z cierpliwością znośli tygodniowe, artystyczne eksplorowanie tych pięknych terenów.

Plener odbył się w lipcu 2014 roku, jak zwykle przy prawie upalnej pogodzie. ■

Grzegorz Biliński
30 października 2014

HISTORIA OFICJALNA

Krzemień z Załęża powstał w mojej głowie już w 2008 roku, kiedy to po raz pierwszy znalazłem kamień wyglądający jak granit. Pan Wiesław Matuszewski, geolog i kolekcjoner z Wolbromia był moim pierwszym konsultantem. „To krzemień chłopie - sprostował mi - zwykła krzemionka, pewnie znalazłeś to gdzieś na Jurze”.

Potem wypadki potoczyły się wartkim strumieniem.

Swoim zwyczajem ruszyłem w teren na rowerze w poszukiwaniu „kopalni krzemienia”. Dzięki tym wędrowkom, z których zwoziłem do domu zawsze jakąś „sztukę”, powstała dość spora kupka materiału krzemienego. Dziś wiem z angielska, że to „chert”. Postanowiłem pewnego dnia pokazać moje „skarby” archeologom kopiącym w Biśniku. Tam spotkałem się z bardzo życzliwym przyjęciem pana prof. dr. hab. Krzysztofa Cyrka, który obiecał mi, że zbada naukowo przyniesiony krzemień.

Wtedy pierwszy raz pomyślałem, aby użyć krzemienia do pokazania światu Naszego Załęża. Poprosiłem pana profesora: „aby, gdyby się okazało i było to możliwe” – przyjął roboczą nazwę „Krzemień z Załęża”.

Na terenie Kopaliny w rejonie Załęża zacząłem znajdować coraz ciekawsze miejsca występowania tych kamieni i okazało się, że w pobliskich Domaniewiczach, Strzegowej, Złotońcu, Kwaśniowie, Krzywopłotach, Bydlinie też można znaleźć krzemień. Dzisiaj wiem że jest to po prostu „jurajski chert”. Minęły lata. Archeolodzy z Biśnika, do których dołączył pan dr Maciej Krajcarz, geolog z PAN w Warszawie, i jego żona Magdalena, zajęli się na poważnie moim KZZ.

Dziś wiem, że spotkałem wspaniałych i konkretnych ludzi, który rozgryźli „mój granit” i nazwali go „Krzemie- niem z Załęża”.

Kamienie kamieniami, a życie, żeby nie toczyło się obok, musi nas zajmować, i tak zostałem poproszo- ny o pomoc przy organizacji budowy pomnika, ku czci poległym i poszkodowanym w czasie I wojny światowej.

Rzuciłem się w wir społecznego działania. Muszę przyznać, że był to dla mnie prawdziwy przeskok z deszc- zu pod rynną. Działalność społeczna rządzi się bowiem zgoła innymi regułami niż działalność gospodarcza.

12 lipca w remizie w Załężu odbyła się duża konfe- rencia poświęcona krzemieniowi. Jej zwieńczeniem był występ muzyka Marcina Stycznia.

MATERIAŁ ZE STRONY

Strona www.krzemienzzaleza.pl powstała na bazie Małego Projektu LGD „Nad Białą Przemszą”, finanso- wanego z Europejskiego Funduszu Rolnego na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich, w ramach Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007- 2013.

Pomysłodawcą i współfinansującym jest Leszek Sikora, który jest też administratorem strony.

Strona ma na celu promowanie lokalnego dziedzictwa kulturowego i historycznego.

Hasłem strony jest : Historia – Teraźniejszość – Przy- szłość.

POPROSIŁIŚMY LESZKA SIKORĘ – SPOŁECZNIKA Z ZAŁĘŻA, KTÓREGO STARANIEM WYSTĘPUJĄCY W OKOLICACH TEJ WIOSKI KRZEMIEN STAJE CORAZ SŁYNNIEJSZY (I – KTO WIE – MOŻE DOGONI SŁAWĄ SŁYNYNY KRZEMIEN PASIASTY Z KAZIMIERZA) – BY NAPISAŁ DLA „KWARTALNIKA” TEKST OPOWIADAJĄCY O POCZĄTKACH JEGO PASJI. I DOSTALIŚMY TEKST, POWIEDZMY, ZASKAKUJĄCY, LITERACKI OPIS RODZĄCEJ SIĘ FASCYNACJI. ZAPRASZAMY DO LEKTURY.

MARZYCIEL – CZYLI – DROGI DO KRZEMIENIA Z ZAŁĘŻA

Drogi, jak to drogi, czasami są bite, a czasami prowa- dzą donikąd. Krótkie i długie czasem powstają, ale są też takie, które znikają.

Każdy, kto żyje, ma własną drogę.

Jak żyć? – pytamy często, tak naprawdę pytając o drogę.

Kiedy się waży 120 kg i nie ma się jeszcze 100 lat, pytanie o dalszą drogę staje się natarczywe, a codziennie stawiane, w końcu powoduje, że coś się w mózgu zapali.

- Odchudzić, odchudzić, odchudzić...

I tu następuje pierwsze skrzyżowanie!

- Rower!

- Codziennie?

Najpierw boli d..., potem brakuje oddechu i.... wstyd prowadzić pod górkę.

- Ten rower jest do kitu!

- Dlaczego tu wszędzie są same wzniesienia, a drogi takie długie?

- Nareszcie trochę z górki... O, jaka soczysta zieleni!

- To przecież maj, rowerzysto!

- Maj do maja, rok do dwóch, a co z drogami?

Stały się jakby moje, codziennie po rowerze wykrzyki- wałem do żony:



- Ale miałem trasę! / drogę /
Codziennie inną drogą i wg zasady „nigdy się nie wracam – muszę zrobić kółko” i mamy... 98 kg!

Jeździło się, nie było dla mnie górki.

- O nie!

- Była jedna – górka w Kolbarku, długa, stroma i mordercza, a najgorsze na niej były dzieci!

Wtedy żałowałem, że nie jadę przez Załęże, bo u nas dzieci nie kłaniają się obcym i nie trzeba im odpowiadać „dzień dobry”, czy „dobry wieczór”, gdy brakuje tchu!

Koszmar!

Dziedzius Pawełek, który był cieślą i codziennie stawiał komuś dom z bali, musiał się namachać siekierą. Miał sposób, jak się nie nudzić przy pracy; gdy go o to zapytałem, odpowiedział:

„Trza liczyć, Lesiek... Liczyć raz, dwa, trzy, cztery... aż się ociese potwe czy krokwe”.

Ja też znalazłem sposób, aby nie nudzić się przy odchudzaniu!

Postanowiłem odszukiwać dawne drogi; takie, których już nie ma, a które w czasach, gdy wędrowało się pieszo lub konno, były drogami racjonalnymi – najkrótszymi, ale jednocześnie wtedy, gdy jechało się wozem konnym – omijającymi górki.

Zacząłem od Szlaku Królewskiego z Krakowa do Częstochowy: szukałem starych map, przeglądałem zdjęcia satelitarne, były to bodaj jedne z pierwszych prób w Polsce odnajdowania obiektów archeologicznych na podstawie zdjęć satelitarnych. W sumie nie było to takie trudne. Zazwyczaj istniały fragmenty starych dróg, które po spojrzeniu na nie z góry prowadziły do szybkich wniosków.

Najbardziej podniecały mnie nowe skałki napotykanne w lasach, często zarośnięte, ale czasami nie.

Wstyd się przyznać, że dopiero po trzydziestu latach pobytu na Załężu, pierwszy raz zobaczyłem Ruskie Góry.

- Pięknie!

- Pięknie!

- ALE!

Zacząłem wtedy jeździć dla zwiedzania.

Jak się co nazywa? – Ta kotlina, czy dolina, Zamczysko, czy Robkowa Skała. I okazywało się, że Robek jest jej właścicielem i ma 39 lat – hellooo!

Nadawałem własne nazwy i dokumentowałem zdjęciami.

Zdjęcia jeszcze bardziej inspirowały, powstawały więc jak grzyby po deszczu:

Kotlina Borsuka, Drewnianych Sanek, Bizona, Kamienego serca!

No właśnie Kamiennego, bo pierwotnie tak było, a jak jest?

Po tym, jak dowiedziałem się, że ten kamień to „krzemień”, przemianowałem ją na Kotlinę Krzemienego Serca. Przemianowałem ją, a co? Tylko krowa nie zmienia... nazwy.

Krzemień!, krzemień! Teraz to już każdy wie - ja też.

Badania, pytania, spotkania, analizy.

Kawałki, odłupki, kamyki, nicoki, blaszki kamienne, artefakty, noże, siekiery krzemienne, była nawet Matka Boska z czarnego krzemienia.

Dogłębnie wyjaśnił mi wszystko o krzemieniu Wiesiek – chciało mu się! – bardzo mu się chciało!

Teraz już wiem, że pasja jest zaraźliwa.

Pasję posiada pasjonat, ponieważ coś pokochał – to wyjaśnienie dla pewnego redaktora, który mnie nie rozumiał. Uspokoilem się dopiero wtedy, gdy profesor archeologii Krzysztof Cyrek obiecał mi nazwać znaleziony na Załężu krzemień od nazwy naszej wioski.

Dlaczego?

I tu jest następne skrzyżowanie!

Pomyślałem: dobrze by było, gdyby Załęże czymś się wyróżniało. Rodaki miały już swoje gęsi, Charsznica kapustę /baba placek/, a Załęże Krzemień, to dopiero będzie ubaw – żartowałem!

Pomyślałem, że wzorem państw skandynawskich można by zacząć budować wspólnotę - lokalną grupę ludzi powiązanych własnymi sprawami, miejscem, życzliwością.

Bogdan, który jeździ na TIR-ach – często do Szwajcarii, opowiadał mi o takich wspólnotach.

Krzemień z Załęża miałby nas wyróżnić, pokazać, że można. Pomyśleć można – ale od czego zacząć?

Kluczem miał okazać się KZZ!

Resztę już zacie. Opisane szczegółowo na www.krzemienzzaleza.pl

Co dalej?

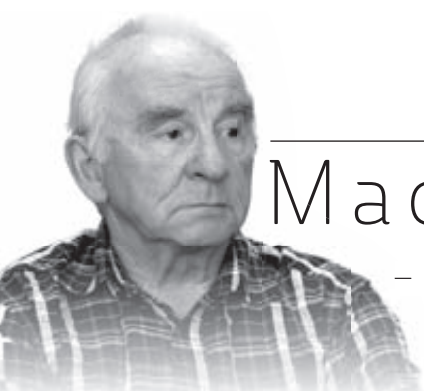
To zależy od wielu rzeczy, ale to, co wiem, to że chciałbym zrealizować sen o spokojnej wiosce na końcu świata, pełnej życzliwych ludzi, posiadających szczęśliwe rodziny, realizujących swoje marzenia.

Parafrazując piosenkę Marcina Stycznia, można by powiedzieć:

„Bez marzenia nie ma skrzydeł”. ■

Leszek Sikora





Maciej Przegonia

– piewca wyidealizowanego Wolbromia

Mija rok odkąd odszedł... Kilka dni przed śmiercią, bardzo już słaby, zadzwonił i przeprosił, że chyba już nie przyjedzie. Chociaż żegnał się, jakby wyruszał w ostatnią podróż, wciąż snuł plany, złościł się, że nie może pisać – właśnie kończył kolejną powieść, której akcja miała toczyć się w Olkuszku. Uroczy, ciepły starszy pan o młodym spojrzeniu, mówiący piękną starą polszczyzną. Jego opowieści o przeszłości, których fabuła często toczy się na ziemi olkuskiej, wciągają nie tylko dzięki ciekawej akcji i nawiązaniu do historycznych faktów, ale też osobliwemu sentymentowi do naszej okolicy, a zwłaszcza do Wolbromia.

Maciej Przegonia (wł. Tadeusz Dulski) urodził się w roku 1932 w Olkuszku. Pierwszą książkę wydał jako człowiek dojrzały. Była to, wydana w 1998 r. nowela „Urwisko Gostacha”. Szybko okazało się, że drzemie w nim talent pisarski. Powstały kolejne powieści, które za każdym wydaniem stawały się wydarzeniem. Pasma sukcesów rozpoczęła powieść „Skrawek Piekła” (2000), następnie „Cienie nad Peczorą” (2002), której pełna dramatycznych wydarzeń akcja rozgrywa się głównie na Syberii, w świecie Archipelagu Gułag. Potem ukazały się książki związane z Żąbkowicami Śląskimi, miejscem zamieszkania autora od 1945 r.: „Baron Frankenstein” (2004, opowiadania), „W cieniu Krzywej Wieży” (2006, powieść historyczna, której akcja toczy się na przełomie XVI i XVII w. w ówczesnym Frankensteinie, a kończąca się wybuchem słynnej epidemii dżumy w 1606 r. i narodzinami żąbkowickiego potwora Frankensteinia), „Zapach śniegu” i „Pustynia Błędnowska” (2008, III część „Kresowej Sagi”).

Wydany dzięki współpracy z Urzędem Miasta i Gminy w Wolbromiu zbiór opowiadań „Zdarzyło się wczoraj. Wolbrom miasto mojego dzieciństwa” (2011), z którego poznajemy epizody z wojennego dzieciństwa autora, przysporzyły Maciejowi Przegoni wielu kolejnych sympatyków, budząc specjalny sentyment zwłaszcza wśród jego wolbromskich rówieśników. Pamiętne, jak się później okazało jedyne, spotkanie autorskie w wolbromskiej

Bibliotece Publicznej stało się niemal magicznym wieczorem wspomnień i powrotów do „starych dobrych czasów”. Krótко przed śmiercią autora ukazała się ostatnia, znowu poświęcona Wolbromiowi książka Macieja Przegonia „Tryptyk Wolbromski”. Przez chorobę, ku wielkiemu żalowi oczekujących na spotkanie czytelników, na jej promocję nie zdołał już przyjechać. Także kolejna powieść o dziejach olkuskiego granatowego policjanta, nad którą pracował prawie do samej śmierci nie została już ukończona...

Maciej Przegonia nieustannie podkreślał swoją miłość do Wolbromia, w którym mieszkał tylko kilka lat, przed i w czasie trwania II wojny światowej. Wciąż opowiadał o wyidealizowanym miejscu, gdzie spędził niełatwe, bo zasnuwane chmurami okropieństw okupacji, a mimo to nieustannie fascynujące i niezapomniane lata dorostania. Chociaż nie mieszkał w Wolbromiu od bardzo wielu lat, często wracał: do mieszkających tu wciąż krewnych, na lokalny cmentarz, gdzie pochowani są jego rodzice i brat, a także do ukochanej sosny w wolbromskim lesie, która ponoć uratowała mu życie w czasie wojennej zawieruchy. W naszych częstych rozmowach telefonicznych ciągle snuł kolejne plany pisarskie, miał mnóstwo nowych pomysłów. Prosił o przekazywanie pozdrowień czytelnikom i wszystkim mieszkańcom miasta swojego dzieciństwa – żałował, że nie uda mu się już z nami spotkać. Prosił o opiekę nad sosną i chwilę zadumy, kiedy już pożegna się z życiem doczesnym. Rok temu, 24 października 2013 r., odszedł do lepszego świata – może dla „Macieja Przegonia” – Tadeusza Dulskiego jest to dawny Wolbrom?

W tym wydaniu „Kwartalnika” możecie Państwo przeczytać niepublikowane wcześniej opowiadanie Macieja Przegonia „Studzienka powstańca”. Kolejny raz wracamy do przeszłości. Miejsce wydarzeń – znajome, co sprawia, że historia staje jeszcze ciekawsza... ■

Ewa Barczyk



© Maciej Przegonia

STUDZIENKA • POWSTAŃCA

Stryj Julian był wysoki, szczupły, miał czarne włosy, ciemną karnację skóry, choć oczy niebieskie, a może zielone, mieszkał w domku pod lasem blisko stadionu piłkarskiego i zajmował się „wszystkim i niczym”. Zapytałem, co znaczy to „wszystkim i niczym”. Mama spojrzała na mnie uważnie.

- Czasy są trudne, każdy musi jakoś dawać sobie radę, stryj Julian zajął się handlem. – Po chwili dodała. – Handlem przez Niemców zabronionym, za ujawnienie którego grozi nawet kara śmierci. Kupuje... różne spożywcze artykuły, potem sprzedaje i w taki sposób zarabia na skromne życie. – Położyła palec na ustach. Musiała wyczytać coś z mojej twarzy, bo za chwilę dodała jeszcze zdanie. – Oficjalnie, zarabia na życie szyjąc cholewki do butów, ale różnie bywa... masz rozum i oczy, widzisz, że od czasu do czasu, a najczęściej raz na dwa tygodnie w naszym domu na niedzielny obiad podawane jest mięso i to jest ta druga strona... medalu. Pojmujesz o czym mówię?

Kiwnąłem głową, choć z stryjem Julianem kojarzyłem zupełnie inne zdarzenia i na pewno niepowiązane z niedzielnym obiadem. Lubiłem go, był zaprzyjaźniony z Szatanem, a taką choć nader ostrożną przyjaźń mój pies okazywał tylko pięciu osobom, w tym dwu kolegom; Irkowi i Staszce. Zdarzyło się, że Wacek przez nieuwagę położył rękę na głowie psa. Jego triumf trwał zaledwie sekundy, bo reakcja Szatana była natychmiastowa: warknął ostrzegawczo i wyszczerzył kły, złe błyski zapaliły się w jego ślepiach. Wacek wolno podnosił rękę w dziwnym geście, co wyglądało dość śmiesznie, ale w taki sposób uniknął bolesnego pokąsania. – Nie rób tego więcej, bo cię potarga – powiedziałem wolno, odwracając w bok łeb Szatana. W jaki sposób stryj Julian zdobył zaufanie psa, tego do końca nie wiedziałem, ale prawdopodobnie wkładając do jego miski świeże kości albo skrawki mięsa, bo rzucanych mu pod nogi, nawet smacznych kąsków nigdy nie tknął. Odwracał mordę i patrzył w drugą stronę. Arystokrata.

Stryja Juliana poznałem kilka tygodni wcześniej, kiedy po przejściu zielonej granicy między Generalnym Gubernatorstwem a Rzeszą powróciliśmy w czerwcu 1940 roku z Ogrodzieńca do Wolbromia. Z Pilicy przyjechalśmy furmanką wynajętą i zapłaconą przez stryja, on sam przywitał nas na rogatkach Wolbromia. Spojrzała na mnie i powiedział:

- A tego kawalera jakoś nie przypominam sobie. Słyszałem wprawdzie o takim młodym człowieku, podobno ma na imię Maciek i jest podobny do ojca, choć wielka to szkoda, bo mama jest dużo ładniejsza – zaśmiał się szeroko i pocałował mamę w policzek, a mnie przygarnął do piersi.

- Tak, jestem Maciek, a stryj jak ma na imię? – podniosłem oczy.

- Imieniny obchodzę na początku lipca i nie jestem Jacek ani Piotr. Kombinuj.

Danusia, która stała za plecami stryja, złożyła palce ręki w tubkę, przyłożyła je do ust i powiedziała cicho Jul.

- Juliusz – rzuciłem pewnym głosem.

Stryj skrzywił usta.

- Takie imię miał prawo nosić tylko jeden Polak, był poetą i zmarł na galopujące suchoty. Mnie na chrzcie świętym nadano imię Julian i dopóki nie powróci z wojennej poniewierki twój ojciec, ja muszę go zastąpić. Zrozumiano? – spojrzała na mnie spod przymrużonych oczu.

- Może stryj być spokojny – odrzekłem przemądrzale.

- Nie pozwalaj sobie za dużo – głos mamy był surowy.

Rozmawiając o wojnie zajechaliśmy pod nasz dom przy ulicy Zachodniej nr 18, ale tamtego dnia stryj Julian zwrócił moją uwagę z zupełnie innego powodu: jego licha i prawdę mówiąc wyświechtana marynarka nie miała środkowego guzika i była zapięta... zagiętym gwoździem. Nie potrafiłem tego zrozumieć.

Zapytałem.

- Dlaczego stryj – pokazałem palcem – czymś takim zapiął marynarkę?

Stryj wypiął biodra i poddał się jakiemuś dziwnemu balansującemu ruchowi ciała. Smutny uśmiech pojawił się na jego twarzy.

- Bo widzisz, mój chłopcze, dziś wczesnym rankiem wysiadałem z pociągu i otwierając drzwi wagonu, nie dałem pierwszeństwa żołdatowi w niemieckim mundurze. Żandarm był podpity, wrzasnął „h a l t”, złapał mnie za guzik, rozwrzeszczał się, rozkazał stanąć pod ścianą i wymierzył w moją marynarkę pistolet – wskazał palcem na gwóźdź.

- I co? I co? – zapytałem niecierpliwie.

Stryj ciężko westchnął.

- Darował mi życie na prośbę swojej niemieckiej frau, ale chwilę później znieważył kopnięciem i urwaniem z marynarki guzika. Zamierzył się jeszcze kolbą rewolweru, ale uchyliłem głowę. Potem długo szwargotała i dwa razy splunęła. Takie to nastały czasy.

- Celował do stryja z pistoletu? – zapytałem. – A ta Niemka, to co?

- Szwabska frau – powtórzył – śmiała się do rozpuku. Była szerokości dużej beczki do kisenia kapusty, miała blond loki i rechotała jak stado żab na naszym wolbromskim bagnie. Kie-

dy wreszcie spojrzała na mnie, zmarszczyła brwi, udając srogość. Również splunęła.

Mama skinęła głową i zapytała.

- Czy to opowiedziane zdarzenie jest prawdą? Sama myśl, że musiałeś przejść przez coś takiego, wywołuje we mnie dreszcze.

Stryj dotknął czoła palcami i odpowiedział wolno.

- Widocznie urodziłem się pod szczęśliwą gwiazdą, bo gdyby żandarm zrewidował plecak, zapewne odprowadziłby na gestapo, a wtedy, sama wiesz – zrobił znaczący ruch ręką wokół szyi. - Z ludźmi, którzy noszą na czapkach trupią czaszkę, nie ma żartów. A może to nie są ludzie tylko hieny przybierające ludzką postać? Widziałem, jak zgarniali ludzi na stacji kolejowej w Tunelu, sam o mało nie wpadłem w ich łapy. – Skrzywił twarz w dziwnym grymasie, otworzył plecak i wyjął z niego owinięte szarym lnianym płótnem nieduże zawiniątko. – Jutro niedziela, ugotuj dzieciom rosół, a na drugie danie zrób kotlety mielone, jednego zostaw dla mnie – szelmowsko mrugnął okiem.

- Julku, nie będę miała czym zapłacić. – Słowa mamy były gorzkie.

- Rozliczmy się po wojnie.

- Tak nie można...

- Odmów zdrowaśkę w mojej intencji i aby nie przyszły gorsze czasy. Nie wracaj już do tej rozmowy.

- Pamięci odebrać mi nie możesz – słabo broniła się mama.

Stryj pokiwał głową.

- Nie chcę tego słuchać, zawartość pełnego plecaka daje mi pewność siebie, a o tamtym zdarzeniu na stacji już zapomniałem. Jesteśmy rodziną, może jutro ja będę potrzebował waszego wsparcia. – Spojrzała na mnie i dorzucił. - A ciebie, Maciek, zapraszam do domku pod lasem na... wodziankę. Wiesz, co to jest?

Wiedziałem, wodziankę przyrządzała w Ogrodzińcu w każdy niedzielny rano dziadek Michał, ojciec mamusi.

Podniosłem głowę.

- A kiedy mogę przyjść?

- Zawsze, jak zobaczysz dym wylatujący z mojego komina, nawet dziś, za godzinę. Możesz zabrać Szatana. Miesz-

kam w małym domku przy placu nazywanym nowym rynkiem, przed domkiem uwiązana do palika będzie paśta się koza. Jesteś bystrym chłopcem, dasz radę.

Pobiegłem tego samego dnia. Rogata koza ubrana w czarno-białe łaty przywitała mnie krótkim beknieniem. Stryjenka zapytała:

- A ktoś ty taki?

- Maciek... - podałem nazwisko.

- Aha, znaczy przyjechaliście – wskazała na krzesło. - Usiądź i opowiadaj.

Skrzywiłem usta. - Nie wiem o czym, mamusia stryjowi wszystko opowiedziała, stryj opowie stryjence.

- Toś ty taki sprytny, dobrze, niech tak zostanie. Napijesz się koziego mleka? – zapytała.

- Nie lubię koziego mleka. Stryj zaprosił mnie na wodziankę.

To nie była wodzianka tylko smażona na smalcu wątróbka. Do dziś pamiętam tamten zapach i smak. Szatan dostał dużą kość z resztkami mięsa. Wróciłem do domu o zmierzchu. Mama stała przed domem. Rozpoczęła ostro.

- Godzina policyjna za dwadzieścia minut, a ty gdzieś biegasz. Skąd wracasz, gdzie byłeś?

Powiedziałem prawdę.

- U stryja Juliana, poczęstował mnie smażoną na cebuli wątróbką, a potem opowiadał o pradziadzie Wawrzyńcu, powstańcu styczniowym, jak uciekał przed Kozakami i o mało nie utonął w bagnie.

Mama była wyraźnie podenerwowana, mówiąc gestykowała.

- O pradziadku porozmawiamy później, a teraz zapamiętaj i na zawsze wbij sobie w głowę, że muszę wiedzieć, dokąd idziesz i o której wrócisz. To nie jest prośba, tylko polecenie. Zrozumiałeś?

- Tak, mamusiu.

Szatan stał obok, podniósł pysk, merdał ogonem i zdawał się uważnie słuchać dość głośnego monologu mamy.

Dopiero wiele miesięcy później zrozumiałem, że polecenie zrodzone było ze strachu przed tym, co nam w każdej chwili groziło. Nam, znaczy całej rodzinie.

OPOWIADANIE OJCA

Wigilia 1940. Padał śnieg, było mroźno, zbliżała się godzina policyjna, zaraz po zmierzchu Jaś zasłonił duże balkonowe okno czarnym nieprzepuszczającym światła papierem. Całą rodziną siedzieliśmy przy stole nakrytym nakrochmalonym białym obrusem i zastawionym chudymi wigilijnymi potrawami: pachniały smażone okonie i biały barszcz z grzybami,

stała salaterka pełna klusek z makiem, w dwu innych gotowana kasza ze śliwkami, ziemniaki w mundurkach, dalej szklane naczynie z kompotem, na talerzyku opłatek, pod nim garść siana, spod zawieszanej pod sufitem lampy naftowej dolatywał zapach spalanej kamfyny, na gałęziach choinki ubranej w biało-czerwone barwy mama zapaliła sześć kolorowych świeczek,



a każda z nich symbolizowała życie jednego członka naszej rodziny. Buchający żarem i skrami żeliwny piecyk na trzech nogach, popularnie nazywany „kozą”, stał przy drzwiach, od których, jak mówiła Danusia, ciągnęło chłodem. W pokoju był jeszcze jeden „mebel” – zawieszona na ścianie i ukryta za choinką fizyczna mapa Europy z 1938 roku, dziś z zaznaczonymi na niej krajami okupowanymi przez Rzeszę. Kiedy ojciec stawał przed mapą, jego twarz robiła się smutna, jeździł po niej palcem, mruzczał i pomstował na angielskiego premiera Chamberlaina, który, jak mówił, „sprzedał w Monachium hitlerowcom pół Europy”. Powtarzał, że jedyną nadzieją na odzyskanie niepodległości dla upokorzonych przez Niemców państw jest kulawy amerykański prezydent Franklin Delano Roosevelt i Winston Churchill, gruby premier Wielkiej Brytanii. I generał Władysław Sikorski – dodawał po krótkiej chwili. Mapa na ścianie facjatki była „czytana” codziennie, a szpilki pokazujące linię frontu, niestety, przesuwały się każdego dnia na zachód i południe. Komunikaty z frontu były coraz bardziej niepokojące, Alianci ponosili klęski, rosła buta Niemców. Polacy pogrążyli się w żałobie. Pochmurniała również twarz ojca. Wtedy nie miałem jeszcze jasnego obrazu tego, jak potoczy się wojna, kto zwycięży, bo na razie to Niemcy paradowali po ulicach, głośno śmiali się, byli butni. I wtedy, a było to przy końcu listopada albo na początku grudnia, wracając od babci zobaczyłem na ulicy Krakowskiej scenę, której finał według prawa obowiązującego w GG m u s i a ł skończyć się śmiercią małego żydowskiego dzieciaka.

Chłopczyk mógł mieć siedem, może osiem lat, był chudy, twarz miał bladą, spod jarmułki wychodziły rude pejsy, na przedramieniu nie nosił opaski z gwiazdą Dawida, kłęczał na środku trotuaru i był tak zajęty zbieraniem rozrzuconych na chodniku kasztanów, że nie zobaczył zbliżającej się śmierci: gestapowca w ubranego w krótki kożuszek i czapkę z trupią główką. Esesman trzymał na krótkiej smyczy rasowego owczarka. Pies wyglądał groźnie. Nie zdając sobie sprawy z groźnego również mnie niebezpieczeństwa, patrzyłem na zbliżający się dramat, na szczęście jakaś mocarna ręka wciągnęła mnie do ciemnej bramy. Niemiec zatrzymał się kilka metrów przed chłopcem, przez chwilę stał i patrzył, pies wyprężył grzbiet do skoku. Gestapowiec wolno zwałniał smycz, uśmiechał się, widać było, że śmierć żydowskiego dzieciaka sprawi mu przyjemność. Ulica momentalnie wyludniła się. Słyszałem bicie własnego serca, poczułem dreszcze. Widok był okrutny i poniżający.

- Komm jude – usłyszałem pogardliwie.

Chłopczyk w dalszym ciągu zbierał kasztany. Owczarek zaczął dyszeć. Jego szybki oddech w mroźnym powietrzu zmieniał się w parę. Tym razem krzyk Niemca był ostry, przenikliwy, ręka dotknęła kabury z pistoletem.

- Komm jude – wrzasnął.

Dzieciak wreszcie usłyszał. Wstał z kolan, zapiał najwyższy guzik u paltocika, spojrzął na Niemca, potem na psa i dałbym słowo, uśmiechnął się. Zrobił krok w stronę gestapowca.

- Halt, jude – esesman zaklął i podniósł w górę rękę ubraną w skórzaną rękawiczkę.

Chłopczyk stanął. Owczarek wyszczerzył zęby, ale o dziwo, cofnął się o krok.

- Komm jude – powtórzył ciszej.

Dzieciak podniósł wyżej głowę i w dziwnie powolnym ruchu podniósł obie ręce w górę. Na jego twarzy zobaczyłem zdziwienie, ale nie strach. Zszedł z trotuaru na jezdnię i powolnym ruchem zdjął z głowy jarmułkę, pod nią nosił kipe. Rude włosy opadły mu na czoło. Stał nieporuszony i dałbym słowo, nie patrzył na gestapowca tylko na psa, jakby hipnotyzował go wzrokiem. Moje serce zaczęło galopować, zaczynało brakować tchu, ledwie oddychałem.

Niemiec zrobił krok do przodu i szybkim ruchem zwołnił owczarka ze smyczy. Zamknąłem oczy, bo spodziewałem się krzyku, jakiejś szamotaniny, a może strzału i wreszcie przerażającej ciszy, która była śmiercią, ale nic takiego nie usłyszałem. Stojący obok mnie w cieniu bramy starszy mężczyzna powiedział cicho:

- Jezu, to nieprawdopodobne. Stał się cud.

Otworzyłem oczy.

Żydowski chłopczyk kłęczał na ubitym śniegu, jego ręce obejmowały łeb psa. Owczarek wydawał jakieś dziwne piski, skomlenia, zamiatał ogonem. Dzieciak stopniowo przesuwając ręce po jego ciele, jakby czesząc sierść palcami. Na koniec pogłaskał szyję psa i jedwabisty łeb. Nie mogłem uwierzyć, podobnie jak nie udawało się to mężczyźnie, który stał obok. Próbowałem sobie to wszystko jakoż pouklądać w myślach, ale nie potrafiłem, a może zabrakło czasu, bo raptem esesman oprzytomniał, wrzasnął, sięgnął ręką do kabury, wyciągnął pistolet i wycelował. Reakcja owczarka była natychmiastowa, jakby miał ślepiea dokoła głowy, błyskawicznie uwolnił się z uścisków chłopca, sprężył i skoczył, właściwie to wystrzelił jak pocisk. Uderzony jego ciężarem gestapowiec upadł na trotuar, czapka zleciała mu z głowy, pistolet wypadł z ręki. Żydowski chłopiec zerwał się do ucieczki i po chwili zniknął w uliczce prowadzącej w kierunku bagna.

- Uciekajmy - usłyszałem ciche polecenie. Mężczyzna pchnął w mnie w stronę tylnego wyjścia i za moment znaleźliśmy się na jakimś podwórku, które z trzech stron było zamknięte drewnianymi budami. –Tędy - wskazał wolne przejście. – Wracaj do domu i buzia na kłódkę, bo Niemcy nie lubią słuchać o własnych porażkach. No, idź już. Żydowski chłopak dał mu w dupę... – nie usłyszałem końcówki zdania, bo raptem pośrodku podwórka zostałem sam. Mężczyzna jakby zapadł się po ziemię. Do domu wróciłem opłótkami. O zdarzeniu natychmiast opowiedziałem mamie.

- Jezus Maria, niemiecki pies nie ma prawa bratać się z Żydem. To musiał być dla gestapowca duży afront. Zastrzeżił psa? – zapytała.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem, nie słyszałem wystrzału, w ucieczce pomógł mi znany z widzenia starszy pan. Widuję go w kościele, zawsze stoi pod chórem.

Mama westchnęła i pogładziła mnie po czuprynie.

- Bogu należy dziękować. – I zaraz dodała: - Że też ty zawsze masz to wątpliwe szczęście być blisko każdej awantury.

- Ale żyję – odpowiedziałem hardo.

- Nawet nie chcę myśleć, co mogło się stać...

...Tylko przez moment moje myśli zajęte były żydowskim chłopcem. Odleciały wspomnienia.

Usłyszałem uroczysty głos mamy.

- A teraz niech wszyscy uklękną na dwa kolana, głośno odmówimy pacierz. Po modlitwie zaczniemy wigilijną kolację. Zrobiła nad naszymi głowami znak krzyża i zaczęła cicho: „Ojczy nasz, któryś jest...”

Przy łamaniu się opłatkiem mama wycierała łzy. Kolacja wigilijna upłynęła w uroczystym, ale smutnym nastroju. Było już dobrze po godzinie policyjnej, kiedy Szatan zerwał się i warknął. Wszyscy podnieśli głowy, zapanowała cisza, dopiero po chwili usłyszeliśmy ciche pukanie do drzwi. Wstał Jaś, położył palec na ustach, do oporu przykręcił knot lampy naftowej, podszedł do okna, uchylił jedno skrzydło i spojrzał w dół.

- Kto tam? – zapytał cicho.

- Nie pytaj, otwieraj.

To był stryj Julian. Po chwili siedział już przy stole. Wyjął zza pazuchy średniej wielkości zawiniątko i położył na stole. Spojrzał na mamę, uśmiechnął się.

- Ciemno tu jak w grobowcu. Podkręćcie knot lampy. A to – wskazał oczami na pakunek – na jutrzejszy obiad. Dość już tych postnych potraw, podziel sprawiedliwie, na sześć kawałków, bo reklamacji nie przyjmuję.

Mama odetchnęła głęboko.

- Julek, przestań się narażać, z Niemcami nie wygrasz.

- Z całym Niemcami nie, ale z lokalnymi hitlerkami tak. – Powiedział jeszcze coś, ale siedziałem za daleko, by usłyszeć.

Mama splotnęła rumieńcem.

- Wiesz, że...

- Wiem, że... – odrzekł szybko - wojna potrwa jeszcze z trzy miesiące, nie zarekwirują nam przecież wszystkich świń. Przyniosłem jeszcze coś do wypitki, ale nie widzę na stole czegoś, co by się teraz przydało. Wy zawsze tak na sucho? – zapytał.

Głos ojca był cichy, przepaszający.

- Nie mamy kieliszków, zostały w Kluczach z całym naszym dobytkiem. Żyjemy jak nędzarze. Zaczynamy wszystko od nowa, o ile... - wstrzymał na chwilę oddech.

Stryj Julek uśmiechnął się szeroko, poklepał ojca po plecach i odparł scenicznym szeptem.

- Nie przejmuj się bzdurami. Jak wiesz, często w swojej nowej pracy... - skrzywił usta - korzystam z dobrodziejstw dawnej PKP i nierzadko zdarza się, że wagonowa brać pomaga sobie w biedzie i każda taka bezinteresowna pomoc jest zawsze w jakiś sposób nagrodzona. Wypijamy kwaterkę, trącamy się nie szkłem tylko w blaszanymi kubkami. Możemy i teraz. Gorzałka zawsze ma taki sam smak. No to, zdrówko - podniósł filiżankę. – Na pohybel szwabom, gestapowcom i wszelkiej maści hitlerowskim szubrawcom.

Wypili.

Mama zaniepokoiła się. Spojrzała na stryja.

- Już po godzinie policyjnej, nie możesz wrócić do domu. Przenocujesz u nas.

Stryj podniósł wzrok.

- Nie żartuj, wróćę opłotkami. – Spojrzała na mnie. - Maciek rozpoznał tę ścieżkę dobrze.

- I jeszcze jak – pochwaliłem się. – Przez ogród, potem należy odsunąć luźną balaskę w płocie i obok domu pani Kajcowej, wydeptaną ścieżką dojść do domku stryja.

- Brawo chłopcze, nic dodać nic ująć, codziennie rano biegniesz po niej z psem do lasu. – Zastanowił się przez moment, po czym skinął głową. - Dla Szatana mam również wigilijny opł... przysmak. – Sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął owiniętą w gazetę sporą kość.

Szatan na dźwięk swojego imienia wstał, przełknął ślinę i zaczął machać ogonem. Jego ślepia były okrągłe i patrzyły tylko w jedno miejsce.

Mama spojrzała na mnie.

- Ubierz paltocik, załóż czapkę na głowę i wyjdź z psem do sieni. Będzie dwadzieścia minut spokoju – dorzuciła ciszej.

Tak zrobiłem i przez dłuższą chwilę patrzyłem, jak Szatan smakuje obrosnięty skrawkami mięsa prezent. Wyjął kość z miski, schował ją między łapami i zaczął obgryzać. Nie spieszył się, gryzł dokładnie, rozcieńczał śliną, przekrzywiał przy tym pysk raz w jedną, raz w drugą stronę, mrużył ślepia, kruszona zębami kość wydawała dziwne dźwięki. Od czasu do czasu łytał na mnie ślepiami, zamiatał ogonem, jakby dając znać, że jego kolacja wigilijna jest również wyborna i smakuje znakomicie.

I wtedy usłyszałem uderzenie, ktoś rzucił śnieżką w drzwi. Szatan zerwał się, podniósł mordę i znieruchomiał. Chwilę później usłyszałem kroki, były ciche, ale zmroźony śnieg nie z tłumił ich całkowicie. Patrzyłem na psa, bo on zapamiętywał znajomych, rozpoznawał węchem. Teraz zaczął kwilić, co znaczyło, że za drzwiami stoi przyjaciel.

- Kto tam? – zapytałem cicho.

- To ja, Zygmunt, otwórz.

Szatan położył uszy po sobie i wrócił do ogryzanej kości. Przekręciłem klucz w zamku. Wyższy ode mnie o dwie głowy kuzyn Zygmunt zacierał ręce z zimna.

- Wszyscy na górze – ruchem głowy wskazał na schody.
- Jest również stryj Julian. Rozmawia z tatą o polityce – odpowiedziałem szybko.
- To temat zawsze aktualny. A co z tobą, wyrzucili cię z mieszkania? – zaśmiał się. – Na polu siarczysty mróz, wracaj do stołu, bo zamarniesz. Nie licz, że Szatan podzieli się kością. – Próbował jeszcze żartować, ale pośliznął się, uciekły mu nogi. Upadając krzyknął krótko. Szatan zerwał się i zaczął warczeć, stanął obok głowy leżącego Zygmunta. Złowrogo błyskały mu ślepia.

- Szatan, do nogi – krzyknąłem, bojąc się, że zaatakuje kuzyna.

Jaś, słysząc hałas, wybiegł z facjatki i stanął u szczytu schodów, po chwili zbiegł na dół.

- Co się stało?
- Kuzyn Zygmunt pośliznął się i upadł, ale już w porządku – odpowiedziałem.

Zygmunt starał się lekko potraktować upadek, wstał, zrobił krok, ale utykał, próbował to ukryć. Zdumiewająco przypominał stryja Juliana, zarówno wyglądem jak i zachowaniem. Jaś wziął go pod ramię i wspólnie weszli po schodach.

Diagnoza mamy wydawała się niepodważalna: okazało się, że zwichnął nogę w stawie skokowym. Dostał zimny okład z wody i octu.

- Przez tydzień noga musi być unieruchomiona – podała diagnozę.

Zygmunt uśmiechnął się.

- Stryjenko, już jutro mogę iść na potańcówkę i wywijać hołubce. U mnie wszystko goi się jak na psie. – Był to oczywiście junacki sposób na lekceważenie każdej dolegliwości.

Mama nie ustępowała łatwo.

- Nogę należy ściśle owinać bandażem albo schować w gipsie. Po świętach skontaktuj się z lekarzem. Nie żartuj. Chyba nie chcesz zostać na całe życie kaleką?

- Stryjenka powinna być chirurgiem. Odpocznę przez dwa dni i jak opuchlizna nie zejdzie, dopiero wtedy zapukam do gabinetu doktora.

Stryj Julian nawet nie spozjrzał na Zygmunta, był całkowicie zajęty rozmową z ojcem. Dyskusja dotyczyła powstania styczniowego, a mianowicie klęski powstańców w bitwie pod Miechowem w lutym 1863 roku. Słuchałem z zapartym tchem. Szatan położył łeb na moich kolanach i zamknął ślepia. Na stole leżała otwarta książka z rozwiniętą mapą. Ojciec wodził palcem po pergaminie i mówił lekko podniesionym głosem.

- To jest mapa Miechowa i okolic z 1863 roku z zaznaczonym na niej kierunkiem uderzenia oddziału powstańczego. Bitwa nie była przygotowana, bo dowódca powstańców, puł-

kownik Apolinary Kurowski dysponujący siłą ponad dwu tysięcy ludzi, nie zrobił wcześniej rozpoznania miechowskiego garnizonu. Liczył na zaskoczenie Rosjan, ale ci byli przygotowani, bo szpicel doniósł ich dowódcy o planowanym ataku na miasto. Bitwa była krwawa. Początkowo powstańcy odnieśli sukces i wepchnęli rosyjskich żołdaków do Miechowa, ale tam powstańcza kawaleria na wąskich uliczkach została zdzięsiatowana gęstym ogniem karabinowym.

Ojciec wstał, głośno odsunął krzesło i wyjął z szafy tom oprawiony w skórę. Znałem tę książkę. To były wspomnienia powstańców z 1863 roku, a w niej szczegółowa mapa Miechowa i okolic z zaznaczonymi stanowiskami powstańców i rosyjskiego garnizonu. Po krótkiej chwili kontynuował:

- A to jest kierunek ataku oddziału „Żuawów Śmierci” – powiódł palcem po czerwonej linii. – Przy kolorze zielonym – niżej opuścił wzrok – oznaczono stanowiska wyjściowe oddziału Kurowskiego. Jak widać, nie było między oddziałami żadnej koordynacji. To musiało skończyć się katastrofą. – Głęboko westchnął. - W szkole policyjnej wykładowcy poświęcili wiele godzin na omawianie taktyki walki, współdziałania między współpracującymi jednostkami, bo poważne konsekwencje niesie chaos.

Nauczono mnie, że kiedy rozmawiają dorośli, dzieciom nie wolno przerywać, ale ja nigdy nie słyszałem o „Żuawach Śmierci”, dlatego ośmieliłem się podnieść dwa palce w górę. Mama skarciła mnie spojrzeniem, ojciec skrzywił się.

- O co chodzi? – zapytał.
- Przepraszam, ale nie wiem, kim są Żuawi Śmierci. Ojciec wydobyl z siebie krótki, niecierpliw grymas.
- Dobrze, ale żeby to było ostatni raz, zapamiętaj...
- Przepraszam – powtórzyłem.
- Stryj Julian uśmiechnął się.
- Wyjaśnij chłopakowi... dobrze, że zadaje pytania, chce wiedzieć.

Ojciec pociągnął nosem, spojrzął na mnie.

- Żuawi Śmierci to była jednostka powstańcza, sformowana w Ojcowie tylko z ochotników przez francuskiego oficera Franciszka Rochebrune. Nazwano ich Żuawami Śmierci, bo walczyli pod znakiem czarnego chorągwi z białym znakiem krzyża i biało-czerwonymi szarfami. Hasłem Żuawów było „hajda na Moskała, zwyciężyć albo zginąć”.

- Dziękuję.
- Głos zabrał stryj.
- Nasi wobromscy ochotnicy także walczyli pod Miechowem. Dwóch zginęło, nigdy nie odnaleziono ich ciała.

Ojciec podniósł wzrok.

- Wawrzyniec Kołodziejczyk, mój dziad nie brał udziału w walce tylko dlatego, że jego gromada w szybkim marszu z Krakowa spóźniła się na pole bitwy. Kiedy przybyli na miejsce, Miechów już płonął, a Moskale dobijali rannych,

pastwili się nad poległymi. Zabitych i jeszcze dających oznaki życia wrzucali do wcześniej przygotowanych dołów z wapnem. Oddział pułkownika Apolinarego Kurowskiego praktycznie przestał istnieć, pozostali przy życiu rozpięchli się po lasach. Żuawi Śmierci odznaczyli się męstwem w walce o silnie broniony przez Moskali cmentarz miechowski. W bitwie zginęło 150 żuawów, ocalał ich dowódca, pułkownik Rochebrune, który po powrocie do Krakowa sformował nowy oddział, nadając mu nazwę Pułk Żuawów Śmierci.

Stryj podniósł wzrok.

- Wspomniałeś o dziadku Wawrzyńcu Kołodziejczyk, czy jego grupa została rozbita, czy ukryła się w lasach?

Ojciec podparł brodę ręką.

- Część uległa rozsypaniu, dziad Wawrzyniec wrócił do Krakowa i z polecenia komitetu powstańczego zajął się zaopatrzeniem oddziałów bojowych w guberni radomskiej z przydziałem na powiat olkuski i miechowski. To była odpowiedzialna praca. Broń, szmuglowana z zagranicy, najczęściej z Francji i bliskiej Austrii nie zawsze nadawała się do użytku, dlatego na obrzeżach Krakowa powstawały rusznikarnie, gdzie ją naprawiano. Tajnym zadaniem dziadka Wawrzyńca było tę broń dostarczyć do ukrytych w lasach oddziałów. Drogi i gościńce patrolowały oddziały konne Kozaków, a ci nie brali jeńców, tylko na miejscu kłuli pikami, zresztą powstańcy rewanżowali się tym samym. Nienawiść była obopólna.

Stryj Julian pokiwał głową i lekko wzruszył ramionami.

- O tak, Kozacy to była wyjątkowa swołocz. Przyjechali na tych swoich małych konikach znad Donu i rozłali się w Polsce jak wzy. Czytałem na ten temat wiele książek.

Ojciec zmarszczył brwi.

- W naszej domowej bibliotece, dziś ukrytej na strychu w wiklinowych koszach, znajdziesz wiele opowiadań o powstaniu styczniowym. W szkole policyjnej musieliśmy rozbiierać na czynniki pierwsze strategie bitew stoczonych przez powstańców z Rosjanami. Moskale byli doskonale zaopatrzeni, mieszkali w ciepłych koszarach, mieli sprawdzonych dowódców, bo zaprawionych w wojnie krymskiej. Grupy powstańców były rozproszone po lasach, słabo zaopatrzone i trzeba powiedzieć prawdę, nie zawsze znajdowały poparcie miejscowej ludności, lud nie zawsze był skłonny pomagać. Na pewno czytałeś „Wierną rzekę”, w której wyjątkowo rzetelnie została opisana martyrologia powstańcza, która z czasem stała się elementem naszego narodowego etosu. W powieści jakże pięknie opisane zostało bohaterstwo szlachcianki Salomei Brynickiej, opiekującej się Józefem Odrowążem, rannym powstańcem.

Ojciec spozjrzał na mnie, jakby chciał mi przekazać w równych proporcjach mękę powstańców i bezwzględność Moskali. Przeczytałem „Wierną rzekę”, zachwyciłem się postacią Salomei.

- Ucz się patriotyzmu i zapamiętaj, że wierność Polsce i walka o niepodległość kraju jest dziś obowiązkiem każdego z nas - położył uspakajająco dłoń na moim ramieniu. Po chwili dorzucił. - Ale ty masz jeszcze czas o tym myśleć, zostaw to nam, starszym. Ucz się, czytaj i miej oczy szeroko otwarte.

Usłyszałem samego siebie, jak biorę głęboki oddech. To był czas, kiedy mogłem zadać pytanie.

- Tatusiu, obiecałeś opowiedzieć o pradziadku Wawrzyńcu, którego gonili Kozacy.

Prośbę poparł stryj Julian.

- Również chętnie posłucham.

Ojciec podniósł wzrok, przeciągle spojrzął na choinkę, wstał, podszedł do biurka, wyjął z szufladki blaszane pudełko z napisem Morvitan, nabrał między dwa palce szczyptę tytoniu i zaczął skręcać w bibułce papierosa, poślinił brzegi i przyłożył do zapalanej świeczki. zaciągnął się, spojrzął na wujka i powiedział:

- Nie częściej, bo wiem, że nie palisz

- Zgadza się. Firanki w moim domu pachną wiatrem a nie smrodliwą machorką.

Ojciec skrzywił twarz.

- Cholerny i kosztowany nałóg - odpowiedział i wzruszył ramionami. W pokoju zrobiło się cicho.

- Dramatyczne opowiadanie o Wawrzyńcu Kołodziejczyk, waszym pradziadku poznałem z dość szczegółowej relacji mojej matki a waszej babci Katarzyny, ale ile w niej prawdy, a ile legendy, nie potrafię rozróżnić. Jak już wspominałem, pradziad Wawrzyniec był powstańcem, któremu zlecono organizację transportu broni i żywności dla grup stojących w olkuskich lasach. Po klęsce miechowskiej i pod Krzykawką, gdzie zginął garybaldczyk Francesco Nullo, na gościńcach zrobiło się bardzo niebezpiecznie, dlatego transporty z bronią, amunicją i żywnością dla leśnych oddziałów przeniesiono na godziny nocne. To było w końcu lipca, a może na początku sierpnia 1863 roku. Transport broni do Olkusza szedł z Ojcowa. Konie niosły worki z karabinami i amunicją. W jedną z takich nocy polnymi ścieżkami około drugiej nad ranem dojechali do Chełma, gdzie postanowili odpocząć i zasięgnąć języka. Wiadomości nie były dobre. Dwa dni wcześniej do Wolbromia zjechała kompania Kozaków i obsadziła wszystkie wyjazdowe drogi z miasta. Patrole kozackie zapuszczały się do najbliższych wsi, gdzie rekwirowały bydło i trzodę na zaopatrzenie oddziału. Taka kozacka trójka na koniach najechała poprzedniego dnia Chełm i ukazem dowódcy zarekwirowała dwa wieprzki i cielaka. Gospodarza, który bronił dobytku, pokłuli lancami, chcieli nawet spalić obejście. Dziadek Wawrzyniec postanowił zrobić rozeznanie; nie było to bezpieczne, ale konieczne. Godzinę przed świtem wybrał się na rekonesans. Jego druha ukrył konie w chłopskiej stajni, a worki z bronią i patronami we zżętych i ułożonych w kopakach zbożu. Od Chełmu do Wolbromia



prowadził gościniec, ale droga była niebezpieczna, bo obsadzona kozackimi czujkami. Tak więc postanowił polami dojść do lasu i tylko znanymi sobie ścieżkami przedostać się do Wolbromia. Początkowo wszystko szło zgodnie z planem: niezauważony przebiegł pocięte kartofliskami pola, chwilę odpoczął w lesie i już miał pomaszzerować dalej, kiedy usłyszał parsknięcie konia. Przypadł do ziemi, przepełził pod najbliższy jałowiec i znieruchomiał. Wyjął zza pazuchy zdobytą na Rosjanach wielostrzałowego Colta Navy i czekał. Broń była pewna, bo wiele razy sprawdzona, dawała przewagę w bezpośrednim starciu. Kozackie patrole zawsze poruszały się na koniach, ludzie stepów robili to prawie bezszelestnie, przechytrzyć ich w podchodach było niezmiernie trudno, bo w razie konieczności utrzymania cisy zastaniali chrapy końskie materią, a kopyta owijali szmatami. Dziad wiedział o tym, dlatego starał się zachować nadzwyczajną ostrożność. Konie były jego miłością. W rodzinnym domu stały dwie kłaczki, nauczył się ich dosiadać. Będąc młodzieńcem, lubił łaźnić po jarmarkach, podglądać handlarzy koni, przyglądać się transakcjom, a niedoświadczonym nawet doradzać. Nieraz spadł z konia, a jeździł zawsze na oklep, najwyżej z podłożoną na grzbiecie derką, w najgorszym przypadku kocem. Zdarzyło się pewnego dnia, że za namową jarmarcznej gawiedzi dosiadł narowistego konia, szalonej bestii, która niejednego jeźdźcę doświadczyła boleśnie. Tym razem skończyło się na złamaniu obojczyka i ogólnym bolesnym potłuczeniu. – Chłopaku, miałeś szczęście, że cię nie stratawał – powiedział przygodny obserwator. – Poznałem tego szaleńca na jarmarku w Pilicy, toż to diabeł ukryty w końskiej skórze. – Musiało minąć trochę czasu, zanim się wielu rzeczy nauczył i zrozumiał. Teraz obserwując z uwagą przedpole, pomyślał o tamtym narowistym ogierze. Uśmiechnął się, to było tak niedawno. Krótkie rozmyślenie raptownie przerwał, zrazu lekko wyczuwalny, chwilę później dość mocny zapach dymu. Natychmiast powróciła napięta uwaga. Nieznacznie podniósł głowę i rozejrzył dokoła. Było jeszcze ciemno, ale na wschodzie niebo zaczęło już lekko różowieć. Wreszcie pojął: to mógł być dym z ogniska i napływał nieco z lewej strony, gdzie było obniżenie terenu. Ktoś palił ognisko i ten ktoś miał konia. To mógł być patrol kozacki albo... jakiś zabłąkany powstańczy oddział. Natychmiast odrzucił tę drugą możliwość.

Ojciec westchnął głęboko, zaciągnął się dymem i chwilę milczał. Przy stole zrobiło się cicho, wszyscy słuchali z zapartym tchem. Odezwał się stryj Julian.

- I co było dalej?

Usłyszałem, jak ojciec bierze głęboki oddech.

- Zdarzyło się najgorsze. Wspominałem przed chwilą, że Kozacy, ludzie stepów, poruszają się bezszelestnie, bo posiadli wypracowaną przez pokolenia umiejętność stąpienia się z otoczeniem. Dziad Wawrzyniec miał tak zajęętą uwagę patrzeniem przed siebie, że nie zauważył niebezpieczeństwa skradającego

się za jego plecami. Kozak musiał go już od dawna obserwować, ale nie przypuszczał, że dziad może mieć broń. Dotknął go piką w nogę i zrobił krok do tyłu.

- Ty, szto ty takoj? Nu gawari, pawstań.

Dziad Wawrzyniec zdrętwiał, ale nie stracił zimnej krwi. Językiem rosyjskim postugiwali się tylko wrogowie.

- Spakojno, ja drug, wasz czeławiek – odpowiedział niedbale i lekko odwrócił głowę. Kozak był niskiego wzrostu, krępy, w rękach trzymał pikę, nie miał innej broni. Była jedna szansa na sto, że żołdat da się zwieść taką bałamutną odpowiedzią.

- Nu, pawstań – ponaglił.

- Spakojno – powtórzył.

Dziad musiał wykonać ruch odwracający wzrok żołdata od swojej prawej ręki, w której trzymał rewolwer. Podniósł się ospale, klęknął na jedno kolano i pochylił ciało w taki sposób, żeby lewa ręka dotykała ziemi.

- Skarieje, nu dawaj – usłyszał niecierpliwe. Pika w rękę Kozaka wyraźnie zadrzała. To był ułamek sekundy. Kciukiem prawej ręki odciągnął kurek, rzucił ciało na ziemię, przekęcił na plecy i z najbliższej odległości wypalił do Kozaka. Sołdat złapał się za lewe ramię i upadł na miękką ściółkę, krzyknął z bólu.

Ojciec wypuścił powietrze i położył dłoń na mojej głowie. Trwało to zaledwie chwilę, chociaż mnie wydawało się wiecznością.

- I co, i co? – zapytałem szybko. – I co było dalej? – powtórzyłem. - Niech tatuś opowiada.

Ojciec przez dłuższą chwilę wpatrywał się w szklanke z kompotem, potem wzrok przeniósł na choinkę i zamyślił się.

- Dalej, to była bezładna ucieczka, byle uwolnić się od przesładowców. Na szczęście twój pradziad – ojciec spojrzał na mnie - doskonale poznał Biały Las, każdą w nim ścieżkę, biegł przed siebie omijając polany, na których, pomimo ciemności, byłby widoczny jak na dłoni. Kozacy tresowali konie do poruszania się w lesie. Choć teraz zyskał nad nimi przewagę, to zdawał sobie sprawę, że może to być tylko częścią chwilowego sukcesu. Kozacy łatwo nie rezygnowali, to byli tropiciele śladów, którzy widzieli je nawet w nocy. Gdyby go dopadli, zadźgali by na miejscu pikami: nie brali jeńców

Nastąpiła kolejna pauza. Wypili. Usłyszałem westchnienie stryja.

- Poznałem zakończenie z opowiadań mojego ojca, byłem małym chłopakiem, takim jak teraz Maciek. Ojciec był surowym mężczyzną, dzieci traktował z góry, bił za najmniejsze przewinienie. W dniu Wszystkich Świętych obchodził urodziny i to był dzień dobroci, jedyny w roku. Każde dziecko dostawało po pół rubla i pocałunek w czoło. Jakoś pod wieczór odwiedził nas stryj Antoni i jak to bywa w porządnym domu, zaczęli rozmowę od toastu, potem było na drugą nożkę, następnie zrobili młynka i jakoś po godzinie, kiedy już mieli dobrze nasmolone

w głowach, stryj Antoni zaczął opowiadać o teściu Wawrzyńcu i jaki to był z niego latawiec.

Ojciec podniósł wzrok.

- Podobno wszystkie panny i wdówki ślepiły za nim oczami, ale żeby aż tak...

Stryj niecierpliwie poruszył ręką.

- Źle mnie zrozumiałeś. Stryj Wawrzyniec po upadku powstania przez pięć kolejnych lat uciekał przed carską policją. Stójkowy coraz to pukał do drzwi i pytał, a stryjka niezmiennie odpowiadała, że zbiesił się i odszedł do innej niewiasty, za co na pewno ukarze go sam Pan Bóg. Stąd niesprawdzone plotki, a jak wiesz, co niektóre wulbromskie baby zawsze strzępiły języki. Taka już ich natura...

Mama chrząknęła ostrzegawczo.

Stryj szybko odwrócił głowę.

- Marysiu, rozmawiamy o końcówce dziewiętnastego wieku. To był czas zabobonów i plotek.

Nie rozumiałem, o czym dyskutowali starsi, zdecydowanie bardziej byłem zainteresowany ucieczką pradziada Wawrzyńca i goniącymi go Kozakami. Złapałem stryja za rękę i błagałem podniosłem wzrok.

- Stryyyju... - powiedziałem przeciągle. - Proszę. Co było dalej?

Zobaczyłem jak marszczy brwi.

- Twój tatuś zna szczegóły - wyjaśnił łagodnym tonem.

Zerknąłem na ojca i dotknąłem ręki mamy, jakbym się chciał przed czymś bronić.

- A może powinienes już pójść spać? - usłyszałem kłopotliwą propozycję. - Ale dziś wigilia. Niech będzie.

Nastąpiła kolejna pauza. Wypili. Ojciec złożył ręce na policzkach, przycisnął je, jakby chciał wypuścić uwięzione w nich powietrze. Wreszcie zaczął.

- Ranek był chłodny, znad bagien napłynęła gęsta mgła i to jej dziad Wawrzyniec mógł podziękować, że uszedł z życiem. Po oddaniu strzału do Kozaka zerwał się do ucieczki, biegł w stronę szosy olkuskiej, gdzie sosnowy las gęstniał i mocno poprzerastał jałowcami, dalej zaczynał się wąski, podmokły i dość grząski pas ziemi, który po obfitych opadach zamieniał się bagnisko. W nim postanowił szukać schronienia. Kozacy poruszali się na koniach i omijali takie niepewne miejsca. Mgła gęstniała z każdą chwilą. Pogoń już się zaczęła, bo słyszała krzyki i nawoływania.

Ojciec ponownie zamilkł. Przez dłuższą chwilę jedynym słyszalnym dźwiękiem był wyjący za oknami wiatr. Ze zderzenia zacząłem ogryzać paznokcie, czułem się, jakby ktoś wyciskał ze mnie energię. W pokoju zrobiło się gorąco, mama otworzyła drzwi do sieni, jej kroki odbijały się echem na drewnianej podłodze, poczułem na twarzy podmuch zimnego, przesiąkniętego dziwnym zapachem powietrza. Szatan podniósł łeb i warknął. - Siedz cicho i słuchaj - powiedział-

łem i położyłem rękę na jego grzbiecie. W końcu dostrzegłem ten błysk na twarzy ojca, który zapowiadał dalszy ciąg opowiadania.

- Dziad krańcowo zmęczony dobiegł do moczarzyska, zatrzymał się, bo w tej samej chwili pojął, że zgubił rewolwer. Rzemyk, do którego był przywiązany colt okazał się w połowie przerwanym. - Jak mnie dopadną, nie będę mógł się bronić - pomyślał. Znalazł grubą gałąź i ostrożnie wszedł w grząskie, zimne bagno. Dwa dni wcześniej nad Wolbromiem przewaliła się gwałtowna burza. Bagno wypełniała woda, przez co było bardziej grząskie, również niebezpieczne. Zrobił krok, potem jeszcze dziesięć i przy którymś kolejnym zapadł się po pas. Woda była przeroźliwie zimna, bulgotała, wokół wyskakiwały bańki powietrza, jakby to, co działa się w środku, było poruszane jakąś niewidzialną siłą. Miał wrażenie, jakby mocarna ręka ciągnęła jego nogi w dół. Złapał najbliższą kępę ostrej trawy i przy pomocy gałęzi z trudem wy dostał się na zewnątrz. Mgła nie ustępowała. Na chwilę przypadł do błotnistej mazi i zamarał w bezruchu, bo z kierunku skąd przybiegł, nadleciały ludzkie głosy, zrazu ledwie słyszalne, potem wyraźne, ale przerywane długą ciszą. Nad słuchują - pomyślał i niżej przywarł do bagna. Widniało, mgła która szczelnie otulała bagnisko, zaczęła wolno podnosić się. Uwięziony po szyję w gnijącej mazi i niepewny każdej chwili, powoli tracił rachubę czasu, zaczął dygotać, w pewnym momencie odczuł potrzebę kaszlu, zwinął jedną rękę i przyłożył do ust. Pomogło. Mijały kolejne minuty pełne trwogi. Teraz on nad słuchiwał, bo odniósł wrażenie, że kozacki pójście oddalił się na wschód, w stronę miasta. Ptaki rozpoczęły poranny śpiew, co było dobrym znakiem. Mgła rzedła, widział już brzeg bagna, a nawet kicającego zająca. Ostrożnie wy dostał ciało z bagna i wolno zaczął pełznąć przed siebie. Wreszcie wy dostał się na brzeg moczarzu. Chwilę nad słuchiwał, wokół było cicho i pusto. Wstał i zaczął dygotać. Ubranie, buty, nawet twarz były pokryte warstwą skisnionego błota. Zdawał sobie sprawę, że Kozacy po zawiadomieniu oficera natychmiast wrócą do lasu i zaczną szukać śladów. Biegiem dotarł do olkuskiego gościńca, schował się za drzewem i zaczął nad słuchiwać. Miał szczęście, od strony Wolbromia zbliżała się furka. Woźnica, młody chłopak siedział obok człapiącego konia, trzymał go za uzdę i śpiewał „Kiedy ranne wstają zorze...” za nim i przed nim droga była pusta. Kiedy furka podjechała bliżej, jak błotny człowiek wysunął się zza sosny i gwizdnął. Chłopak stanął, rozglądając się i szeroko otworzył oczy.

- Świece boski, panie, ktoś ty taki...? - zapytał i zaraz dodał: - Może powstaniec? Nie daj Panie Boże - zrobił na piersi znak Krzyża. - Kozaki chyba szukają takich, bo przed chwilką szosą krakowską pognął w stronę lasu cały ich szwadron. Panie, wskazuj na furkę, ino... szybko, zajedziemy do ojcovej chałupy, ukryję cię w stodółce, a w nocy se pójdziesz, gdzie prowadzi twoja droga. - Ogładnął się i jeszcze raz przeżegnał. -



Z Wolbromia wracam, zawiozłem dla dobrodzieja mlako – dodał po krótkiej chwili.

Ojciec przerwał, nabrał głębiej powietrza i przełknął ślinę. Mama była zasłuchana na ten swój poważny sposób, zapisując wszystko w pamięci, jakby pewnego dnia sama musiała o tym opowiedzieć innym. Lila i Danusia patrzyły na ojca z nabożeństwem, stryj Julian kiwał głową. Jaś i Zygmunt mieli szeroko otwarte oczy, spał tylko Szatan, pochrapiując lekko. Mnie opowiadanie ojca wprawiło w gorączkowe podniecenie, przestałem prawie oddychać. Przerwa na szczęście była krótka. Ojciec spojrzał na mamę i rozpoczął:

- Tamtego dnia dziada Wawrzyńca nie opuściło szczęście, rozejrzał się uważnie, wskoczył na furkę i schował się pod płachtą luźno przykrywającą siano. Powiedział zduszonym głosem: - Jedź przed siebie, byle prędko. – Nie zdradził się słowem, że jest poszukiwany. Po chwili dorzucił. – Chłopak, gdzie ty w ogóle mieszkasz?

- Jak to gdzie, przecie w Gołaczewach. A Kozaki już mnie przebadali i rozpytali, skąd żem i gdzie jadę, na koniec poktuli furę piką. Sakramencka swołocz. Młody woźnica spojrzał na dziadka i zaczął się śmiać. - A gdzieżeście się panie tak uchyltali? Śmierdzicie bagnem jak psy młynarza z Sosnowki. To zawzięte bestie. – Splunął.

- Zapadłem w bagno, ledwie uchroniłem życie – odpowiedział. – Nie gadaj, tylko popędź konia, bo wlecze się jak z trumną na cmentarz. A młynarz z Sosnowki to porządny obywatel, trzyma niepodległościowy parol.

Chłopak wyraźnie skrzywił usta.

- Ja tam nic nie wiem, ojciec zabronili. Kozaki mnie trochę znają, tatuś sprzedaje im gorzałkę. – Obejrzał się niespiesznie, podniósł wzrok i otworzył usta. - O, kruca fiks – złapał się za głowę - Moskale znów gonią od Wolbromia, jedna patrolka wjechała w las, reszta zdążyła prosto na nas, pewnie będą przepytawali we wsi o uzbrojonych rebeliantów, ukradną parę kur i zaczną zbierać do kosza jajka. Sakramenckie bandyty. A teraz schowaj się panie głębiej i zamknij gębę. Żeby tylko furki nie kłuli pikami – dorzucił ciszej, zjechał furką na pobocze szosy i zdjął czapkę.

To były chwile grozy.

Dziada Wawrzyńca znów nie opuściło szczęście. To byli ci sami Kozacy, którzy wcześniej "kłuli pikami" furkę chłopaka. Przelecieli galopem i za chwilę pozostał po nich tylko tuman kurzu.

- Panie, możesz dla lepszego oddechu wystawić głowę, ale nie siadaj, bo mogą zobaczyć i co wtedy...?

- Ilu ich było, znaczy się Kozaków? – zapytał.

Chłopak podniósł dłoń i pokazał cztery palce.

- Którędy wjedziesz do wsi? Tam teraz Moskale.

- Jak zawsze od zagajnika, droga zakręca i prowadzi głębokim rowem. Stodółka stoi z boku. Wioska nie jest zwarta, chło-

py gromadzą się przy karczmie, gdzie władza ogłasza ukazy. Tam pewnie zjadą Kozaki i zwołają zgromadzenie chłopów. Wsiądziesz panie i ukryjesz się pod snopkami. O zmroku dojdę do ciebie i doniosę strawę. Pod snopkami ciepło, wyśpij się dobrze, bo o północy ruszysz swoją drogą. Ojca nie ma w chałupie, pojechał z gorzałką na jarmark do Pilicy. Wróci jutro w samo południe.

- Dobrze, zrobię jak powiedziałeś. A jak cię nazywają?

Chłopak uśmiechnął się.

- Dobrodziej nadali mi imię Wawrzyniec, jak mojemu dziadowi. U nas we wsi taki zwyczaj, że pierwszemu urodzonemu nadaje się imię dziada.

- Tośmy jak powinowaci, prawie jak bracia, mnie również Wawrzyniec.

Rozmawiając zajęchali pod budę zrobioną z nieheblownych, już poczerniałych ze starości desek i dachem wykonany ze strzechy słomianej.

Chłopak zeskokczył z furki, rozejrzał się na boki.

- Tu się panie ukrycie, tylko nie wychodźcie spod słomy, bo drożka chodliwa i może być nieszczęście. Drabinkę znajdziecie na klepisku, zaraz za wrotami. Zrzućcie odzienie do wyschnięcia. Będę pilnował waszego spokoju, Kozaki tu nie zachodzą, bo i po co? Wrota zawrzyjcie od środka. O zmroku pójdziecie swoją drogą. Ojcową chałupę stoi na rzut kamieniem, za tym zagajnikiem – pokazał wyciągniętą ręką. - W domu została matka i młodsza siostra Nastka. Gdyby poszło źle, to przyjdę i opowiem.

Chłopak sprawiał dobre wrażenie. Dziad Wawrzyniec podniósł wzrok i uśmiechnął się.

- Pierwszy raz widzę stodółkę z wystającym ze strzechy kominem.

- Bo my tu mieszkali, potem ojciec pobudowali nową chałupę, a z tego zrobili stodółkę. Inne chłopcy zazdroszczą. Przed omłotami śpię w niej i pilnuję snopków z żytem. Dwa dni temu skończyli my młócić. Już fertig.

Ojciec znów zrobił przerwę, nalał do kubków. Wypili. Wujek zakąsił samym chlebem. Zamknął oczy i przyrzekł sobie, że jak tylko stopnieje śnieg, odnajdę tamtą stodółę i przywołam obraz sprzed kilkudziesięciu lat. Nie brałem pod uwagę, że stodółki może już nie być.

Wreszcie ojciec skinął głową, usiadł wygodniej i spojrzał bez specjalnego zainteresowania na mapę wiszącą na ścianie. Minęła dłuższa chwila, zanim odezwał się.

- Dziad wszedł po drabinie na wysoki sąsiek, odchylił lekko deskę i spojrzał: chłopak akurat wyprzeżał konia. Z komina chałupy unosił się dym. To już właściwie koniec opowiadania. – Ojciec przelotnie spojrzał na mnie i uśmiechnął się, ale ze sposobu w jakim poruszały się jego ramiona, domyśliłem się, że będzie dalszy ciąg.

Wtedy stryj Julian zapytał:

- A co z tym zgubionym rewolwerem? Przepadł, a może znaleźli go Kozacy?

Ojciec pokiwał głową.

- Tego nikt nie wie. To musiała być ładna zabawka.

Dochodziła dwudziesta druga. Stryj spojrzął na Zygmunta.

- Synu, czas na nas. Jak twoja noga?

- Do wesela wyzdrowieje.

- Abyśmy tego wesela wszyscy tu obecni doczekali. Zbie-
raj się.

Raptem ojciec lekko uderzył się dłonią w czoło.

- Jeszcze tylko dwa zdania. Nikt z was nie zapytał, co stało się z moczarem, który uratował dziadka. W trakcie budowania drogi do Olkusza teren został znacznie obniżony i dziś z dawnego moczarczyska pozostały tylko niewielkie, choć jeszcze grząskie resztki. Pośrodku bagna wydłubano małą studzienkę, do której skapuje woda. Wolbromiaci powiadają, że woda nader smaczna i przynosi zdrowie dla żołądka. Tę studzienkę w 1900 roku wykopał dziad Wawrzyniec jako wotum za uratowanie życia...

CZĘŚĆ II

77 LAT PÓŹNIEJ

Powietrze było gorące i ciężkie, upał rozlewał się po lesie, ledwie wyczuwalny wietrzyk muskał wierzchołki sosen, słyszałem brzęczenie owadów. Od strony smoleńskiego zamczyska napływało kilka puszystych obłoczków, które wcale nie zwiastowały nadchodzącej burzy. Szatan położył łeb na wyciągniętych łąkach, wywalił język i dyszał, nad drzewami krążyła para kruków. Na wprost, w prześwicie drzew, nie dalej jak na rzut kamieniem, biegła szosa, za nią, blisko toru kolejowego stał domek dróżnika, zbudowany z sosnowych bali i kryty gontem. Do północnej ściany przyklejona była przybudówka wykonana z podkładów kolejowych, teraz pobielonych wapnem. Poniżej domu rozciągało się bagnisko z rdzawymi oczkami wodnymi, w lecie wysychało, a w najlepszym wypadku kurczyło się, choć zawsze było wylegarnią komarów. Brzegi porastały trzciną i ostrą trawą, wszystko pokryte białym wapiennym pyłem unoszącym się z drogi. Tego roku, po ulewnych lipcowych deszczach, trawa wybujała wysoko, zarastała przydrożne rowy, tylko w wybranych miejscach zjadana przez kozy. Na poboczach szosy ułożone w przyzmy leżały potłuczone kamienie do wypełniania dziur i kolein. Po drugiej stronie dorastał sosnowy młodnik, w którym wczesną jesienią, odgarniając gęstą trawę, zbierałem maślaki, za nim poroży transejami z 1914 roku stał stary, gęsty las. Spojrzałem w niebo, kruki zniknęły, a w ich miejsce, wysoko nad bagnami krążył wielki ptak, wznosząc się powoli we wstępującym prądzie powietrza. Upał narastał, otarłem pot z czoła. Poczulem senność, nawet Szatan stracił ochotę do baraszkowania w najbliższych krzakach. To była ta pora dnia, kiedy ojciec brał książkę do ręki i mówił: „idę do świątyni dumania rozświecić umysł”, co oznaczało, że za pięć minut zacznie popołudniową drzemkę. Książka była tylko pretekstem, wszyscy o tym wiedzieli. Oparłem plecy o sosnę i zamknąłem oczy, chyba nawet zdrzemnąłem się, ale spokój trwał krótko, bo Szatan raptem podniósł łeb i cicho warknął, po chwili wstał, zeszytywniał, sierść zjeżyła się na jego grzbie-

cie. To było ostrzeżenie. Spojrzałem za siebie: w prześwicie drzew szosa była pusta, nic również nie wskazywało, że nadjeżdża pociąg. Co więc u licha! Szatan postawił uszy, oparł ciało o moje nogi i z najwyższą uwagą zaczęła się wpatrywać w tylko przez siebie wybrany punkt. Spojrzałem w tamtych kierunku i zapytałem cicho.

- Zobaczyłeś coś? Rude wiewiórki mają dziuple bliżej chełmskich pól, szkoda twojego i mojego czasu. Położyłem rękę na jego grzbiecie i wyczułem wyraźne drżenie mięśni. Zrozumiałem, to było coś znacznie większego i niebezpieczniejszego. Jeśli zbliżali się Niemcy, a zawsze musiałem brać to pod uwagę, rozsądek wskazywał na szybką ucieczkę. W tym lesie znałem każdą ścieżkę i prawie każde drzewo, było kilka takich miejsc, gdzie nie zobaczyłby mnie nawet sam diabeł. Ojciec pouczał: „nigdy, nawet w chwili zagrożenia nie trać zimnej krwi, strach jest zawsze złym doradcą”. Łatwo tak mówić. To, co widział albo poczuł węchem Szatan, dla mnie było niewidoczne i dlatego bardziej niebezpieczne. Bulgot w gardle psa nasiłał się, przechodził w niebezpieczny ton. Coraz mocniej napierał na moje kolana, jakby chciał się od nich odbić i wystrzelić do przodu jak pocisk, dygotał. Szykował się do skoku, atak miał we krwi. Tylko na kogo? Przed nami rosnęło kilka średniej wielkości jałowców, dalej teren lekko opadał, przechodził w rozległy młodnik, po nim w transeje z I Wojny Światowej, za dwieście metrów sosnowy las wyraźnie rzedł, teren zamieniał się w podmokłą, zarośniętą jagodziskami maleńką łączkę, na brzegu której stała wiekowa sosna, latem ubiegłego roku uderzył w nią piorun, dalej dość grząskie bagnisko, a w nim „studzienka powstańca” – taki płytki dół o wymiarach 80x80x80, oszalowany już mocno omszałymi okraglakami, do którego skapywała woda z bagniska. Jak głosiła przekazywana z ust do ust rodzinna legenda, w tym bagnisku ukrył się latem 1863 roku przed goniącymi go Kozakami mój pradziad ze strony ojca, Wawrzyniec Kołodziejczyk. Wysłuchałem kilku opowiadań



na ten temat. Bagnisko ze studzienką było dla mnie miejscem magicznym, bogatym w specjalną moc.

- Cii... – ukląknęłam, złapałam Szatana za obrozę i przytrzymałam. – Spokój, nie wolno, bądź mądry – mówiłam jakieś głupie słowa, wpatrując się uważnie w najbliższe otoczenie. Przez chwilę jedynym dźwiękiem był niecierpliwy bulgot wychodzący z gardła psa, strużka śliny wyleciała mu z pyska i zawiesiła się na wywalonym języku. Zwolniłem nieco ucisk, bo zaczął się krztusić, charczał. Również zacząłem drżeć, choć nie byłem w stanie zrozumieć, skąd miało przyjść zagrożenie. Byliśmy obaj spięci, choć ja zdecydowanie bardziej. Wreszcie zobaczyłem. Za jałowcami i łączką, obok karłowatej sosny, stapiając się z otoczeniem leżał duży, o podpalanej sierści pies. Poznałem wszystkie psy z najbliższego otoczenia, Szatan z wieloma z nimi walczył o zapewnienie sobie zastrzeżonego terenu, ale tego psa nigdy dawniej nie widziałem. Przyblęda – pomyślałem i już miałem zwolnić obrozę, kiedy przypomniałem sobie, że niemieckim strażnikiem pilnującym magazynów amunicji przy chełmskiej szosie, miesiąc wcześniej przywieziono trzy specjalnie tresowane alzackie owczarki. Mama ostrzegła: - Nie zabieraj psa do lasu, bo może wyniknąć z tego nielicha awantura. Jesteś już na tyle dorosły i zdajesz sobie sprawę, że Szatan nie toleruje na swoim terenie innych pobratymców. Kivnąłem głową i natychmiast o przestrodze zapomniałem. Szatan do tej pory nigdy jeszcze nie uległ w walce z innym psem, a pojedynków stoczył co niemiara. W pewnej chwili parsknął jak zraniony byk, zobaczyłem, że z pyska zaczyna mu ciec gęsta ślina. Robiło się groźnie. Zaciśnąłem drugą rękę na obroży i zapałem pięty w lekko wilgotny grunt. Obleciał mnie strach, bo tamten pies, którego w myślach nazywałem Intruzem, nie miał zamiaru uciekać. Podniósł się i stanął na wyprostowanych nogach, boki miał zabrudzone piaskiem, wyprężył grzbiet, jego pysk był nieco dłuższy, uszy postawił na baczność: również czekał, był wyższy od Szatana, ale barki miał wąskie i szczuplejsze, z gardła wychodził mu jakiś dziwny bulgot. Natychmiast przyszło pytanie. Dlaczego Intruz znalazł się w miejscu tak odległym od magazynów amunicji, czy uciekł, a może niemiecki strażnik ukrył się w pobliżu i czeka na rozwój sytuacji? Odrzuciłem tę myśl, bo Niemcy w pojedynkę nigdy nie wchodzili do lasu. Strach przed partyzantami, których nazywali bandytami, był powszechny. Teren składu amunicji zajmował sporą część Białego Lasu, został ogrodzony płotem i uszczelniony kolczastym drutem, każdy owczarek miał drucianą klatkę, kiedy psy wyprowadzano poza ogrodzenie, trzymane były przez strażników na długiej smyczy. Moje myśli trwały zaledwie ułamek sekundy, ale nawet w tak krótkim czasie wydarzyło się coś, czego od razu nie mogłem pojąć. Intruz podniósł się, przednie łapy oparł o sosnę i zawył krzykiem pełnym tęsknoty, a może radości, bo nie było w nim groźnych pomruków, krótkich szczeknięć, które tak dobrze poznałem, kiedy Szatan szykował się do ataku. I wte-

dy stała się rzecz niepojęta. Ciało Szatana zwiotczało, wygładziła się sierść na jego grzbiecie, groźny bulgot przeszedł w ciche pomrukiwanie a nawet kwilenie, które za moment ustało zupełnie. Nie wierzyłem własnym oczom, bo zachowanie obu psów zrobiło się tak niepojęte, że zapadłem w zdumienie. Spojrzałem na Intruza. Kręcił się, wiercił, wreszcie legł w nietypowej jak na psa pozie, na przednich łapach, zad miał podniesiony, jego ruchy były niespokojne, ale choćby na chwilę nie spuszczał ślepiów z Szatana. Nie wiedziałem, co mnie do tego skłoniło, lecz rozluźniłem palce na obroży. Szatan to zrozumiał, bo wyżej podniósł łeb, ale nie odstępował mnie na krok. Intruz po krzyku tęsknoty czy rozpaczy powrócił do swojej pokracznej pozycji i jak wcześniej zamiatał ogonem, co zdaje się między psami było przyzwoleniem na bliższą znajomość. Szatan rozumiał, że coś się wydarzyło albo wydarzyć może, bo teraz nie potrafił oderwać wzroku od Intruza, który z każdą upływającą chwilą zachowywał dziwniej i bardziej wyzywająco. Wstawał, siadał, opierał ciało o sosnę, w pewnej chwili położył się na jagodziskach i zaczął po nich tarzać się, cały czas zbliżając się w naszą stronę. Wreszcie poznałem prawdę i zrozumiałem. To była suka i jej zachowanie okazało się niczym innym jak psimi zalotami. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem karku Szatana, wzdrygnął się, jakby prąd przeleciał przez ciało, ale nawet przez chwilę nie spuszczał ślepiów z gry miłośnej prezentowanej przez zalotnicę, wydawało mi się, że słyszę pulsowanie krwi w jego głowie, choć myśl ta uleciała natychmiast, bo Intruzka czołgając się w naszą stronę popiskiwała radośnie, jej zad unosił się i opadał. Szatan wydawał się być sparalizowany obserwowanym zachowaniem, choć podobnie jak ona cicho popiskiwał, potem zaczął wydawać z siebie jakieś dziwne dźwięki, na moment przestał nawet oddychać, jego ślepia były rozbiegane, zaczął kręcić zadem, nigdy wcześniej czegoś takiego nie oglądałem: wyglądał na zahipnotyzowanego. Raptem wyprostował ciało, odbiegł ode mnie kilka kroków, stanął na wyprostowanych łapach i... dałbym słowo, posłał zalotnicy psi uśmiech, który był jednocześnie czuły i smutny. Intruzka poruszyła niespokojnie łbem i odwróciła ślepia, jakby raptem straciła zainteresowanie zalotnikiem. Usiadła wyraźnie znudzona, choć, tak mi się przynajmniej wydawało, bacznie obserwowała zachowanie Szatana. Wielokrotnie obserwowałem Szatana w trudnych dla niego chwilach, teraz zadziwiła mnie, wszystkie mięśnie w jego ciele były spięte i drżały, na każdy, nawet najmniejszy ruch Intruzki odpowiadał czymś zbliżonym, choć bardziej nerwowym, co było takie niezgodne z jego wybuchowym charakterem. Widziałem go stanowczego wobec innych psów, kiedy wydawał się być dzika furią, teraz stał w miejscu, a jego boki podnosiły się i opadały. Na najwyższej gałęzi sosny usiadły dwie wrony i przez chwilę jedynym dźwiękiem było ich wrzaskliwe krakanie. Podniosłem rękę i machnąłem nią. Spłoszone ptaki załopotały skrzydłami i wbiły się z powrotem w powietrze.

cd. str. 46 »



Przemknęło mi przez myśl, żeby krzykiem powstrzymać Szatana od zrobienia jakiegoś głupstwa, bo od nowa zjeżył się, postawił uszy i trwał w jakimś bezgłośnym ostrzegawczym pomruku, wyczuwając w powietrzu niebezpieczeństwo. Jego zaniepokojenie nie było bynajmniej pozbawione podstaw, bo Intruzka raptem wyprężyła grzbiet, podniosła łeb i zaczęła węszyć, gwałtownie wciągnęła powietrze i zerwała się do biegu. Szatan ruszył w ślad za nią. Po chwili straciłem ich z oczu. Stałem chwilę w dziwnym bezruchu, potem usiadłem, oparłem ciało o sosnę i zamknąłem oczy, sen przyszedł szybko. Nie wiem jak długo spałem, dlatego nie usłyszałem zatrzymującego się samochodu. Olkuska szosa była blisko, nie dalej jak z sześćdziesiąt metrów. Obudził mnie szwargot niemieckiej mowy. Otworzyłem oczy i odwróciłem głowę. Strach wdarł się do serca. Z paki ciężarówky marki Horch wyskoczyło kilku niemieckich żołnierzy, stanęli na poboczu szosy i dopiero na znak starszego stopniem weszli między pierwsze drzewa. Las w tym miejscu był rzadki. Tylko jeden żołnierz trzymał w rękach karabin, na szyi miał zawieszoną lornetkę. Sosna, za którą stałem, nie dawała żadnej ochrony, jej pień był zbyt wąty. Dziesięć metrów dalej rosły jałowce, ale nie mogłem się tam ukryć, bo najpierw musiałbym przeskoczyć dość rozległą łączkę, a wtedy... Co zrobić? Wróciły słowa ojca: „nigdy nie trać zimnej krwi”. Żołnierze rozpinali rozporki i podchodzili, każdy pod wybraną przez siebie sosnę. Śmiali się, szwargotali. Ten z karabinem stał na straży, rozglądał się uważnie, wydawało się, że nic nie może ująć jego uwagi. Bardzo starałem się nie poruszyć, przez chwilę jedynym dźwiękiem, który słyszałem było bicie własnego serca. Strach, który zaczął paraliżować ciało, już za chwilę podał mi okrutną próbę, bo wartownik oparł karabin o sosnę i podniósł do oczu lornetkę: obserwowałem jego niespieszny ruch głową. Patrzył uważnie, nie ruszając się z miejsca. I wtedy niespodziewanie wrócił Szatan i jak to on, rzucił się na mnie z rozpędem. Zawsze w taki sposób wyrażał radość ze spotkania. „Niemcy, uciekaj do domu” – krzyknąłem i zerwałem się do biegu. Szatan znał te słowa, sprężył się i skoczył między jałowce, a ja za nim.

- Halt, halt – słyszałem dalekie już krzyki.

Przebiegłem łączkę, wpadłem między wysokie jałowce, potknąłem się o wystający korzeń, ale utrzymałem równowagę. To było jak kłasnienie młotkiem w zardzewiałą blachę, posypała się kora z drzewa po mojej lewej. Tylko na moment dopadł mnie strach, później to była już tylko desperacka ucieczka, wiedziałem, że muszę dolecieć do „studzienki pradziada Wawrzyńca” i wskoczyć do mokrego, zimnego dołu. Teren był bagnisty, zarośnięty krzewiną, zapamiętałem, że kilka dni wcze-

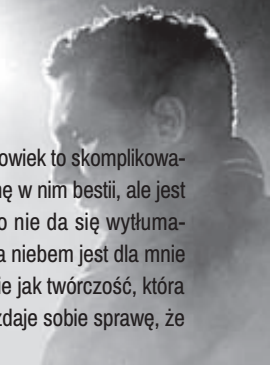
śniej pomagałem Staszce wyciąć z rosnącej niedaleko leszczyny wędzisko. Wycięliśmy kilka długich witek i jak to młodzi chłopcy, dla kawału zamaskowaliśmy wlot do studzienki gałęziami, nawet baczny obserwator, nawet z kilku metrów nie zauważyłby zastawionej pułapki.

- Może do studzienki wpadnie zając – zaśmiał się Staszek.

Myśl ukrycia się w studzience przyszła niespodziewanie. To było jedyne takie miejsce, gdzie niezauważony mogłem przetrwać gorący czas ewentualnej oblawy. Miałem nadzieję, że Niemcy nie mają psów, inaczej byłbym zgubiony. Przeczytałem w encyklopedii, że węch psa jest sto razy silniejszy od powonienia człowieka. Uciekając najkrótszymi, bo znanymi mi ścieżkami zdobyłem przewagę odległości, zresztą nie czułem pogoni, a może żołnierze zrezygnowali z czesania lasu, bo bali się spotkania z partyzantami, z którymi w takich warunkach nie mieli szans zwycięstwa. Wreszcie doleciałem do bagniska, oglądając się, przeskoczyłem ostrożnie kępy ostrej trawy, szybkim ruchem odsunąłem gałęzie, ostrożnie wślizgnąłem się do studzienki i natychmiast wpadłem w muliste dno. Szybko uszczelniłem nad głową przykrycie z gałęzi leszczyny. Kucnąłem, było ciasno i zimno, czułem jak po plecach ścieka mi lodowata woda, zacząłem dygotać. Studzienka była tak wtopiona w otoczenie, że tylko uważny obserwator mógłby ją odnaleźć, poza tym z każdej strony otoczona była dość grząskim bagniskiem. Wtedy przyszedł strach. Siedziałem kilka minut bez ruchu, mając nadzieję, że ewentualna pogoń pomyli kierunek. O Szatana nie bałem się, bo na szybko powiedziane słowa „Niemcy, uciekaj do domu” zawsze reagował właściwie. Ostrożnie podniosłem głowę, poczułem dotyk gałęzi przykrywającej otwór studzienki: było cicho, mały ptaszek przysiadł na nieodległej gałęzi i zaczął wykonywać jakiś dziwny taniec. Śmiesznie podrygując obracał się w jedną, to w drugą stronę. Miał żółte podgardle i czerwony kołnierzyk wokół szyi. Uplęło kolejnych kilka minut, wokół panował spokój. Odważyłem się wystawić głowę, potem tułów. Od strony olkuskiej szosy słychać było jadącą furę, brzegiem bagniska wolno kicał zając. Wyszedłem ze studzienki, zdjąłem mokrą koszulkę i wycisnąłem z niej brudną wodę. Mówiąc prawdę, byłem rozczarowany. Nikt mnie nie gonił, nawet zając nie uległ panice, gapił się na mnie bez żadnej bojaźni. Jedyłą satysfakcją, choć nie do końca sprawdzoną było to, że niemiecki żołnierz strzelał... a może to moja wyobraźnia... Sam nie wiem. Prawdą zaś pozostało, że w zagrożeniu obrałem identyczną drogę ucieczki jak mój pradziad Wawrzyńiec Kołodziejczyk w 1863 roku. ■

» cd. ze str. 2

TESKNIĘ ZA OLKUSZEM, KTÓREGO NIE MA



Wierzę. Człowiek to skomplikowana istota, trochę w nim bestii, ale jest też coś, czego nie da się wytłumaczyć tylko ewolucją. Sama tęsknota za niebem jest dla mnie dowodem na istnienie duszy. Podobnie jak twórczość, która niby jest z artysty, ale często on sam zdaje sobie sprawę, że jest tylko przekąźnikiem.

- **Marcinie, tęsknisz za Olkuszem? Tu stawałeś pierwsze artystyczne (i nie tylko) kroki...**

Tęsknię - ale za Olkuszem, którego już nie ma. Na moim osiedlu nie ma drzew, które pamiętam z dzieciństwa, nie ma moich kolegów, bo wyjechali, tak jak ja. Zawsze kiedy wracam, Olkusz sprawia wrażenie nieco wymarłego miasta. A ja z dzieciństwa pamiętam cztery dzieciaków na osiedlu. Graliśmy w nogę, w dołek albo w kapsle. Pamiętam też rzekę ludzi, która wypływała z OFNE, późniejszej Emalii SA, gdzie pracował też mój tata. Zapamiętałem Olkusz jako miasto pełne energii, której teraz nie widzę. Tęgo już nie ma. Stąd nostalgia jak w piosence Jacka Kaczmarskiego: „Czemu wciąż przez ramię zerkam, choć nie woła nikt: kolego! Że ktoś ze mną zagra w berka, lub przynajmniej w chowanego”.

- **Grasz w całej Polsce, sporo występujesz za granicą: Niemcy, Francja, Włochy czy USA, ale coś rzadko koncertujesz w Olkuszu... Ostatnio na ziemi olkuskiej można Cię było posłuchać w Załężu, na konferencji o tamtejszym krzemieniu...**

Jak mówi Pismo, prorok ma najgorzej w swoim kraju (śmiech). A tak na poważnie, nie mieszkam w Olkuszu od 1997 roku, więc wielu ludzi mnie zapomniało. Ale kilka lat temu zagrałem świetny koncert w swojej rodzinnej parafii, a w lipcu Leszek Sikora, pasjonat z Załęża, który promuje tamtejszy krzemień czekoladowy, zaprosił mnie z koncertem na konferencję, którą zorganizował. Było to ciekawe doświadczenie, połączenie świata nauki, kultury i lokalnej społeczności. Z jednej strony profesorowie geologii, a z drugiej - Koło Gospodyń Wiejskich i w tym bigosie jeszcze ja ze swoją poezją.

- **Zaaklimatyzowałaś się w Warszawie? To już Twoje miasto?**

Początki były trudne. Nie mogłem się tutaj odnaleźć. Tęskniłem za Olkuszem i artystycznym Krakowem. Ale to Warszawa pozwoliła mi rozwinąć skrzydła. Tu znalazłem swój dom. Mieszkam na Starym Mokotowie, przy parku Morskie Oko, mam więc kawałek Południa (śmiech). Mam swój sklepik na rogu, gdzie robię codzienne zakupy, gospodarza, pana Waldka, który zawsze służy pomocą i odbiera moje przesyłki, od wielu lat ucinam sobie pogawędkę z dystygowaną starszą panią Kasią, która wiele lat spędziła na różnych placówkach dyplomatycznych. Zawsze kiedy mówię, że wyjeżdżam gdzieś za granicę, mówi - tak, byłam tam. A najważniejsze jest to, że mam tutaj swój zespół i swoją publiczność.

- **Pierwszą Twoją w pełni autorską płytą było „21 gramów” z 2008 roku. Wierzysz, że człowiek ma duszę?**

Wierzę. Człowiek to skomplikowana istota, trochę w nim bestii, ale jest też coś, czego nie da się wytłumaczyć tylko ewolucją. Sama tęsknota za niebem jest dla mnie dowodem na istnienie duszy. Podobnie jak twórczość, która niby jest z artysty, ale często on sam zdaje sobie sprawę, że jest tylko przekąźnikiem.

- **Od kilku lat tworzysz z poetą Ernestem Bryllem duet poetycko-muzyczny. Dotąd ukazało się pięć waszych wspólnych płyt” Bryllowanie” (2009), CD i DVD, „Bryllowanie Live” (2011), „Zejdźmy się jak na wilię” (2012), „Golgota Jasnogórska” (2013) oraz książka z płytą „Duchy poetów” (2013); jak doszło do waszego spotkania i współpracy?**

To moja publiczność sugerowała mi, że bym zainteresował się poezją Brylla. Rzadko słucham takich podpowiedzi, ale tym razem posłuchałem. Kupiłem kilka tomików, zachwycałem się i szybko do kilku wierszy skomponowałem muzykę. Postanowiłem pokazać te piosenki poecie. Dotarłem do niego przez wspólnego znajomego. Już na pierwszym spotkaniu coś zaiskrzyło. Szczególnie piosenka "Oj, gębo moja" przypadła Ernestowi do gustu. Dzisiaj na koncertach wykonujemy wspólnie.

- **Twoje życie to nie tylko muzyka. Z wykształcenia dziennikarz, na koncie masz pracę w kilku stacjach radiowych, w telewizji. Jesteś lektorem, w Radiu Warszawa prowadzisz audycję, w której popularyzujesz muzykę autorską. Człowiek orkiestra!**

Choć z wykształcenia jestem dziennikarzem, to nie oddałem się temu zajęciu bez reszty. Wolę odpowiadać na pytania niż je zadawać. A praca lektora pozwala mi zachować niezależność artystyczną i finansową. Poza tym współczesne dziennikarstwo mnie irytuje. Zbanalizowało się, stabilizowało.

- **20 lat, a jak z bicza strzelił! Jakie masz plany czy artystyczne marzenia na następne 20 lat? Kariera świątowa?**

Pewnie! Chociaż mam świadomość, że działam w niszy, planuję nagrać swoje piosenki po angielsku i może zaprezentować je za oceanem. W przyszłym roku ukaże się moja kolejna autorska płyta i być może nowa książka z Ernestem Bryllem. Nigdy nie marzyłem o tym, żeby grać na stadionach, ale chcę zbudować publiczność, która będzie czekać na moje płyty i koncerty. ■

Rozmawiał: Olgerd Dziechciarz



Panna Sil

Panna Sil to pseudonim poetki, mieszkanki powiatu olkuskiego, która pragnie zachować swoje imię i nazwisko w tajemnicy. Urodzona w 1975 r. Sama o sobie:

„Pisanie jest dla mnie formą autoterapii. Mój syn powiedział wczoraj do mnie, żebym napisała tak: »moja mama wieczorem dostaje weny i budzi się w nocy, pisze po ciemku i nic nie widzi. A gdy jej się coś znowu przypomni, to od razu: zeszyt, pióro, lampa«. Urodziłam się i tak strasznie boję się czasem budzić, a jednocześnie również z lękiem zasypiam. To, co piszę, dzieje się, i to przeraża. Czasem zastanawiam się, ile kroków dzieli od kompletnego wariactwa. Mam nadzieję, że po śmierci nie ma świadomości. Nie wierzę już w dziewięć żyć. Największym żartem byłoby, gdyby jednak istniał jakiś bóg”.

Debiutowała przed laty w tomiku „Spod szkolnej ławy”, wydanym przez I LO w Olkuszu, w którym zamieszczono twórczość poetycką uczniów i absolwentów tej szkoły.

12.09.2013

Jestem nieparzysta
 Układam się do snu na wznak
 Jestem nienaruszalną powłoką systemu
 Ciągu nieprzewidywalnych zdarzeń
 Delektuję się ostatnią wspólną chwilą
 W sposób przewrotny wypowiadam zdanie twierdzące
 Zmieniając szyk słów
 Jak gdybym chciała oszukać twoją odpowiedź

Nieuchronnie zbliża się koniec
 Ładujemy magazynki
 I delikatnie pociągamy za spust
 Aż do pocucia oporu pod palcem wskazującym
 Naciskamy energicznie widząc na muszce żądany obiekt
 Leży
 Nie wstaje
 Sprawdzamy funkcje życiowe
 Nie oddycha
 Puls niewyczuwalny
 Akcja zakończona powodzeniem
 panie boże posprzątaj ten syf z podłogi

09.03.2014

Ci co mnie pragną
 patrzają jak na pannę świętą
 Ci co mnie mieli
 odchodzą nazajutrz nienasyceń i przeklinają.

16.08.2013

W poziomie i w pionie
 Na dzisiaj i jutro
 W nieregularnych chwilach
 Szukam wczoraj
 Na skrzyżowaniu dróg zatrzymuję
 Mój stan nieprzeciętny
 Twój obraz niekontrolowany
 Moje zagubione przekątne wykrwawione
 Pomiedzy wdechem jednym i drugim
 Obraz przekłęty
 Niedokonany czas zastyga
 Przez przypadki odmieniam
 Granice własnej woli
 Nie wyrażone w żaden sposób
 Nie wystawione w żadnym języku
 Krok w przód
 By zaraz w tył dać krok
 Naprzemiennie
 I w miejscu jest JA
 Apatyt pod ostrzem noża



bardzo sprytnie dobieram słowa
 przepycham je z prawej do lewej
 wyciskam trochę soku z cytryny i skrapiam oliwą
 bo wiem
 że tak lubisz
 nawet nie zauważysz że to nie trufle
 rzucam cokolwiek
 abyś był syty
 i do znudzenia powtarzam: Kocham

Korporacja Wielka, Mądra, Nieprzenikniona
 w swych fantazjach niezrównana
 Korporacja industrialna, surrealistyczna, ekspansywna
 wypłatami strzelająca hojnie
 Wdzięczny Ci będę dogonnie za spełnienie
 za niezliczone delegacje zagraniczne
 za wyjazdy integracyjne
 w hotelach czterogwiazdkowych
 (śniadanie w cenę wliczone
 I alkohol za free)
 Dziękuję za te poranki
 gdy budzę się skacowany
 ale jakże szczęśliwy

Pozwól mi jeszcze
 tę Zośkę z księgowości
 mieć ze dwa razy tak
 jak żona nie pozwala nigdy
 bo nie chce być grzeszna
 A ta Zośka jest chętna
 i ma migdałowe oczy

Będę Ci za to wierny do emerytury
 i na szefa mego złego słowa nie powiem
 choć to prostak
 Ale furę ma full wypas
 i dobre garnitury

Tylko tę Zośkę mi daj
 a ja Ci będę robił zestawienia budżetów, obrotów
 Tabelki Ci do nóg położę i wykresami ozłocę
 Będę Ci Korporacja Łaskawa
 najwierniejszym specjalistą
 Boś Ty moją Jedyką Ostoją
 i Prawdą Ponadczasową

Zapomniałam ci powiedzieć
 Że rąk do modlitwy nie złożę
 Ręce poucinałam
 Stopy pokaleczyłam
 Sprzedaję organy
 Tylko nerki nie oddam
 Nie staram się nawet kochać
 Nie przyniosło to oczekiwanych rezultatów
 Zgubiłam pamięć na autostradzie
 Zapłacę za swą naiwność
 Przelelewem po dziesiątym
 Nie chcę zbawienia i wiecznego odpoczynku
 Nawet lekarze rozkładają rękę
 A ja rozkładam nogi w podzięcie
 I zapraszam
 Zapraszam panów
 Musiałeś, boże
 Słodki cukiereczku
 Nieźle wykombinować
 Że dźwigam te wszystkie jutra

23.01.2014

W świecie Armani Love
 światło świeci non stop
 razi mnie w oczy
 tu nie ma miejsca na art nieład
 dolce gabbana słodzi mi kawę
 a jednak mam gorzki smak ust
 w grymasie a' la James Dean

filmy kręcę od zawsze
 ale w tym główną rolę dostanie jakiś amator

06.09.2013

Wyprowadzam się jutro na Zwrotnik Koziorożca
 6, 9, 20, 13 - to dobry układ
 Nieparzyste sprzyjają stanom maniakałnym
 Dzisiaj już się nie zobaczymy
 A może jednak zabić
 To zwierzę płochliwe
 Na nic zda się litość
 To uczucie ponad miarę moich możliwości



MARCIN TOMSIA

Z zawodu nauczyciel języka polskiego (w Zespole Szkół nr 4 w Olkuszu). Swoją przygodę z twórczością literacką rozpoczął późno, już po studiach polonistycznych. Utwory Tomsia charakteryzuje krótka, zwarta fraza. Oprócz literatury, inspiracją jest dla niego muzyka, m.in. zespołu Pink Floyd. Sam Tomsia gra na perkusji. W przeszłości próbował swych sił także w malarstwie.

lunacja II

interpretacja ciał -
oskórowana dusza kilka spiętrzonych kraterów
chrzty ognia wokół drażniąca woń
dopalanego naskórka

po drugiej stronie stołu
na oparciu krzesła wisi nowa torebka
skóra z której była zrobiona
coś ci przypomina jednak nie pamiętasz co...
była o wiele za droga

„Pan Cogito a myśl czysta”

Z. H.

czytając współczesnych poetów Pan Cogito ma mieszane uczucia
zgadza się ze stwierdzeniem
że poezja nie może być wieloznaczna zatem dążenie do jednoznaczności
to jej podstawowy cel

istotnie
nieprzebrane bogactwo podmiotów które nie łączą się z orzeczeniem
to przecież takie przyziemne

rzeczą wielką myśli Pan Cogito
byłoby trwać samemu do końca
rzeczą w rzeczy samej

zatem współczesna myśl to nic innego jak
lingwistyczna
fanaberia?

Przyptyw

Zofii Jurczyk

choć znam twoje wiersze
nigdy nie mogłem pojąć
jak zgrabnie łączysz
echa sylab rymów akcentów

jak wplatasz myśli
i historie w zdania będące
ciągami ludzkich obaw

teraz wiem dlaczego nasza myśl
była dla ciebie aktem
twórczej niewoli

szum o którym mówiłaś
zamień w szmer oceanu
niech skropi się tworząc
jednostajny byt spokoju
trwały nieprzenikniony wieczny

spośród kartek
wyjmowanych drżącą ręką
wyłoni się pragnienie czyste -

napisz coś jeszcze





PODWÓJNY MEDALISTA

Dwa złote medale na Mistrzostwach Europy IMAF w Sztukach Walki zdobył Bartosz Kulanty, uczeń ZDZ w Olkuszku. Jest zawodnikiem Uczniowskiego Klubu Sportowego „Samuraj Bukowno”, gdzie trenuje ju-jitsu. Zdobyl już wicemistrzostwo Polski w tej dyscyplinie sportu i został powołany do Kadry Narodowej.

Bartosz Kulanty ma 19 lat. Uczy się w klasie II o profilu mundurowym Niepublicznego Liceum Ogólnokształcącego Zakładu Doskonalenia Zawodowego w Zespole Szkół w Olkuszku. Ubrany w szkolny mundur przywitał mnie w siedzibie olkuskiego Zespołu Placówek Opiekuńczo-Wychowawczych, którego jest podopiecznym.

Jak wyjaśnił Michał Cieślak, wychowawca w Socjalizacyjnej Placówce Opiekuńczo-Wychowawczej, Bartosz pochodzi z dysfunkcyjnej rodziny. Przez wiele lat był zaniedbywany, jako nastolatek musiał liczyć na siebie. Przeżył, jak mówi, „nieciekawy zakręt życiowy” – m.in. często wagarował. To jednak już przeszłość. W opinii wydanej przez wychowawcę we wrześniu 2014 czytamy: „Bartosz jest chłopcem miłym, uczynnym i koleżeńskim. Chętnie pomaga innym wychowankom. Realizuje obowiązek szkolny systematycznie. Nie sprawia w szkole i w placówce żadnych kłopotów wychowawczych. Chętnie uczestniczy w różnego typu zajęciach organizowanych w placówce. Jest twórczy, systematyczny i obowiązkowy. Rozwija swoje zainteresowania sportowe – uczestniczy w treningach w Uczniowskim Klubie Sportowym »Samuraj Bukowno«. Jest osobą zdyscyplinowaną, punktualną. Wytrwale dąży do realizacji wyznaczonych przez siebie celów”.

Co tak odmieniło Bartosza? Jak sam twierdzi, sprawił to sport. Znajdując się pod opieką rodziny zastępczej, chłopiec w wieku 16 lat przypadkowo trafił na trening UKS-u „Samuraj Bukowno”. Tam właśnie trener Zbigniew Biały odkrył w nim talent do ju-jitsu. „Trener jest bardzo istotną osobą w moim życiu, zawsze mogę na niego liczyć – podkreśla Bartosz. – W czasach, kiedy najbardziej potrzebowałem pomocy, trener zawsze był i pomagał mi. Jeśli chodzi o sprawy wyjazdowe, to trener pokrywa wszelakie koszty,

więc gdyby nie trener, nie osiągnąłbym tego wszystkiego, co osiągnąłem”.

Szukając w sporcie odskoczni od codziennych problemów, młody zawodnik szybko zaczął odnosić sukcesy – najpierw na szczeblu regionalnym, a nieco później już na arenie międzynarodowej.

Co dało Bartoszowi uprawianie sportu? Jak twierdzi, wybór tej ścieżki zmienił jego całe nastawienie do życia. Wyzrywając się na macie, miał zarazem szansę „przemysłać pewne sprawy”, ustalić i usystematyzować życiowe priorytety. Chłopiec nauczył się, jak mówi, „nie stać w miejscu, lecz osiągać kolejne sukcesy”. Zaczął poważnie traktować szkołę i systematycznie dążyć do osiągnięcia stawianych sobie celów.

Celem, jaki stawia sobie Bartosz Kulanty, jest zawodowa służba w jednostce wojskowej. „Od kiedy pamiętam, lubiłem strzelać – wyjaśnia. – Służba w Wojsku Polskim to od dziecka moje marzenie, które zaczyna się spełniać. Na pewno pomoże mi w tym znajomość sztuk walki”.

Lista dotychczasowych osiągnięć Bartosza w sporcie jest tak imponująca, że przytoczmy ją w całości:

Puchar Europy Federacji International Koryu – Bujutsu – I miejsce w konkurencji Ju-Jitsu – 60 kg (Żywiec, 2012); Turniej Ju-Jitsu Dzieci i Młodzieży Federacji International Federation Ju-Jitsu – I miejsce w kategorii wagowej do 65 kg (Bukowno, 2013); Nagroda Starosty za szczególne osiągnięcia w dziedzinie sportu (21 lutego 2013); turniej Jurajska Liga Ju-Jitsu Dzieci i Młodzieży – I miejsce (6 kwietnia 2013); Puchar Polski Młodzieżowców w Ju-Jitsu – II miejsce w konkurencji Fighting (21 września 2013); Jurajska Liga Ju-Jitsu – I miejsce (16 marca 2014); Małopolska Liga Jurajska, Turniej Dzieci i Młodzieży w Jaroszewcu – I miejsce w sztukach walki (24 marca 2014); Nagroda Starosty za szczególne osiągnięcia w dziedzinie sportu (28 marca 2014); Puchar Polski w Federacji IMAF Polska – I miejsce w sztukach walki oraz II miejsce w kenjitsu (5 kwietnia 2014); Ogólnopolski Turniej Klas o Profilu Mundurowym – II miejsce (11 kwietnia 2014); Mistrzostwa Polski IMAF w sztukach walki – III miejsce (7 czerwca 2014); Bieg Łączności w Bukownie – II miejsce (2014); Mistrzostwa Polski Seniorów – II miejsce (2014).

Najnowszym osiągnięciem są wspomniane już na wstępie dwa złote medale zdobyte w październiku 2014 na Mistrzostwach Europy IMAF w Sztukach Walki. Pierwszy medal Bartosz wywalczył w ju-jitsu mixed kumite, drugi – w kenjitsu.

Jarosław Nowosad



W numerze ponadto:

Maciej Przegonia - proza (opowiadanie "Studzienka")

Krystyna Dziurzyńska - proza (opowiadanie "Oferta")

Marcin Styczeń - wywiad

Panna Sil - wiersze

Marcin Tomsia - wiersze

Pustynny plener

X finał konkursu im. Kazimierza Ratonia

XIV Olkuskie Zaduszki Jazzowe

60 lat olkuskiego Domu Kultury

Krzemień z Załęża

Relacje z wystaw, spotkań autorskich,

recenzje książek i płyt

oraz wiele innych rzeczy

